ŁOWIEC POLSKI



Sałatruk. Rafajłowa. Fot. J. Jabłonowski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 30 (914) 20 PAŹDZIERNIKA 1938 R.

CENA ZŁ. 1.–

MISTRZOSTWA
POLSKI, MAZOWSZA I WARSZAWY

W ZAWODACH NARODOWYCH 8–10 LIPCA 1938

ZDOBYTO

PROCHEM „SOKÓŁ"

PAŃSTWOWEJ WYTWÓRNI PWP PROCHU – PIONKI

Strzelając dubeltówkami firmy PAUL SCHOLBERG, Liège

Z D O B Y T O

Na IV Ogólnopolskich Zawodach P. W. P. Pionki, 1938 r.

I miejsce w klasie **A** (p. **Wilhelm Ziegenhirte**) i I miejsce w kl. **B** (p. **R. Feill**)

Na XIII Narodowych Zawodach Strzelectwa Myśliwskiego 1938 r.

I miejsce w mistrzostwach Warszawy, Mazowsza i Polski (p. **Wilhelm Ziegenhirte**)
III „ „ „ „ „ (p. **Józef Kiszkurno**)

Na Międzynarodowych Zawodach w Luhaczovicach (Czechosłowacja)

I miejsce w mistrzostwie Świata zespołowo (**Polska**).
Na 4-ch zawodników zespołu **TRZECH** (pp. Kiszkurno, Sztukowski i Ziegenhirte) strzelało z dubeltówek Paul Scholberg, Liège.

WYŁĄCZNE PRZEDSTAWICIELSTWO W FIRMIE „ŁOWIEC", WARSZAWA, WIDOK 22. TEL. 504-93

TRADE MARK Quality

S K U P U J E M Y

S K Ó R Y Surowe wszelkie, zajęcze, królicze, tchórze, lisie, kuny, kozie, cielęce, bydlęce — wszystkie inne. Płacimy najwyższe ceny. Poszukujemy skupujących. Garbujemy — farbujemy.

F U T R A gotowe dostarczamy — modernizujemy
Pouczające cenniki 25 gr. znaczkiem.

PREPARACJE TROFEÓW MYŚLIWSKICH.

POLSKĄ CENTRALA SKÓR I FUTER
SP. Z OGR. ODP.
POZNAŃ, UL. M. FOCHA 27-31.

PTACTWO BITE I ZWIERZYNĘ kupuję w każdej ilości po najwyższej cenie
B. ŻENDARA
Warszawa, Nowy Świat 64, telefon 504-18 i od godz. 19-ej do 7-ej rano 504-19.



„R Y Ś"
NOWA PRACOWNIA
pod kierownictwem doświadczonego preparatora

Gwarantuje się fachowe preparowanie zwierząt i ptaków, oprawa szabel dziczych i rogów, wyprawianie skór z włosem i na zamsz.
Robienie dywanów i kołnierzy ze zwierząt futerkowych.
Wszelkie obstalunki firma wykonuje po cenach przystępnych.
WARSZAWA, CHMIELNA 35 m. 28 Telefon 6-57.52.

WIKTOR ŁASTOWSKI



PRACOWNIA WYPYCHANIA ZWIERZĄT I PTAKÓW
oprawa rogów, robienie dywanów, wyprawa skór.

Warszawa, Krak. Przedm. 10, telefon 6-86-78.
Wprost kośc. Ś-go Krzyża



Przed burzą. Fot. A. Dobrski.

TROCHĘ O KACZKACH

Dzikie kaczki są, jak wiadomo, pospolite w całej Polsce. Ponieważ jednak stopień rozwoju kultury rolnej, leśnej i łąkowej wykazuje w poszczególnych regjonach naszego kraju wybitne różnice, przeto i charakter miejsc lęgowych kaczek jest różny w różnych częściach Polski.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że dzika kaczka nie jest specjalnie wybredną, jeżeli chodzi o wybór miejsca lęgowego na wiosnę, które następnie — przy sprzyjających okolicznościach — staje się miejscem polowań letnich i jesiennych. Trochę wody stojącej lub bardzo wolno płynącej i przytem zarosłej szuwarami oraz — spokój... Oto właściwie są dwa czynniki, potrzebne dzikiej kaczce dla osiedlenia się na wiosnę. To też łowiska kacze wykazują dużą rozmaitość. Zaciszne jeziorka leśne, mokre łąki, bagniste jeziorka śródpolne, duże jeziora obramowane szuwarami, bagniste rzeki i rzeczki oraz ich zatoki, stawy rybne, nawet przypadkowe zbiorowiska wody na polach, łąkach i w lasach wywołane długotrwałemi deszczami — oto zgrubsza typowe siedliska kaczek.

Dla zobrazowania, jak dalece kaczki są czułe na spokój i to przytem na ów specyficzny spokój, potrzebny niemal każdej zwierzynie — przytoczę parę przykładów. Pewien eks-oficer austrjacki, który przebył oblężenie Przemyśla przez wojska rosyjskie, opowiadał mi przed laty, jak to całe stada kaczek dzikich przesiadywały na małych stawkach, położonych w obrębie obleganej fortecy, nie bojąc się ani ustawicznego huku dział, ani obecności ludzi, którzy nieraz zbliżali się do kaczek na odległość kilkunastu kroków. Kaczki jak gdyby wiedziały, że surowe przepisy forteczne zabraniają polowania i że ze strony ludzi nic im nie grozi. Również powszechnie znane są opisy dzikich kaczek, siedzących spokojnie na Szprewie w Berlinie lub na Newie w Petersburgu w samem centrum tych miast i tuż koło dużych mostów, po których z hukiem i trąbieniem przejeżdżają samochody i tramwaje. Wreszcie w r. 1930 w wileńskich „Trąbkach myśliwskich" ś. p. Stanisław Wańkowicz umieścił ciekawy opis hodowli dzikich kaczek „na dziko" na małym stawku parkowym w maj. Gorzyczki wojew. poznańskiego. Kaczki gorzyckie były, według relacji autora, tak dalece zżyte z widokiem i obecnością ludzi, że odpowiadały kwakaniem na wołanie „kacz-kacz" i chwytały kawałki chleba w locie z rąk ludzi, stojących na grobli. Pozwoliłem sobie w tem miejscu przypomnieć ciekawą relację ś. p. St. Wańkowicza, gdyż opis hodowli kaczek na dziko w Gorzyczkach stanowi wyraźną antytezę propagowanej przez p. M. Tukałłę hodowli dzikich kaczek... na swojsko (Kalendarz Myśliwski na rok 1938).

Potem, co wyżej przytoczyłem, zdawałoby się, że nic nie stoi na przeszkodzie, by dzikie kaczki stały się — jak Polska długa i szeroka — zwierzyną nietylko pospolitą, lecz nadto mającą stałą tendencję do ilościowej poprawy. Niestety, tak nie jest, przynajmniej nie wszędzie, a zwłaszcza tak nie jest na obszarze Ziem Wschodnich...

Zanim przejdę do pobieżnego zobrazowania dzisiej-

szego „kaczostanu" na naszych kresach i zanim zastanowię się nad przyczynami zmniejszania się ilości kaczek na wschodzie Polski, muszę podkreślić pewien moment natury zasadniczej. Kaczki były doniedawna na wschodnich rubieżach Polski zwierzyną „podstawową" — były, krótko mówiąc, tem, czem były i są zające i kuropatwy w województwach centralnych i zachodnich. Warunki klimatyczne naszych regjonów wschodnich nie rokują widoków, byśmy kiedykolwiek mogli osiągnąć takie rezultaty hodowli zajęcy jak np. województwo poznańskie. Odnośnie kuropatw sprawa przedstawia się jeszcze gorzej, gdyż kilkadziesiąt lat doświadczeń poucza nas, że jedna śnieżna i surowa*) zima niweczy niemal doszczętnie plony naszych starań i nadziei hodowlanych. Pozostają więc kaczki, które, jak już nadmieniłem, były doniedawna zwierzyną „podstawową" dla myśliwych kresowych. Doniedawna — bo od kilku lat, a mniej więcej od 1930 r. zaczyna się stopniowe zmniejszanie się ilości kaczek na ziemiach Wileńszczyzny i Nowogródczyzny.



Aport kaczki. Fot. Inż. T. Śledziński

Zaznaczyć pragnę, że uwagi moje dotyczą w głównej mierze północno-wschodniej połaci naszego Państwa i nie obejmują Polesia. Jednak wieści, które mnie z Polesia dochodzą, nie wyglądają również zbyt różowo. Zwłaszcza w ubiegłym i bieżącym sezonie „kaczostan" poleski ma być niemal katastrofalny, co rzekomo zostało spowodowane wyjątkowo suchą wiosną, a w związku z tem — rozpanoszonym wśród poleszuków procederem masowego wybierania jaj kaczych. Osobiste moje obserwacje z Polesia są takie mniej więcej: w latach 1923 — 1926 polowałem na Polesiu na kaczory na wabia i z krykuchą po parę tygodni każdej wiosny. Rezultat 70 — 80 kaczorów jednego dnia (rankiem i wieczorem) nie należał wcale do rzadkości, nawet przy bardzo miernem strzelaniu, a znałem w tych latach „rekordzistów", którzy ubijali jednego dnia setkę kaczorów i więcej. Od r. 1926 los nie pozwolił mi ani razu wybrać się wiosną na Polesie, natomiast od tego czasu skrzętnie co roku zbieram informacje od znajomych, odbywających stale wyprawy wiosenne na Polesie i polujących mniej więcej na tych samych terenach, na których ja polowałem przed r. 1926. Z informacyj tych wynikałoby, że „rekordy" wiosenno-poleskie należą już do przeszłości i że ilość 15—20 kaczorów, ubitych jednego dnia na wabia i z krykuchą, uważana jest przez tamtejszych łowców za dobrą. Ubiegłej wiosny r. 1938 rezultaty były podobno jeszcze gorsze. Stąd możnaby wyciągnąć konkluzję, że i na Polesiu — tem królestwie ptactwa wodno-błotnego, zaczęło się coś psuć...

Pozostawiam jednak myśliwym poleskim snucie rozważań nad tamtejszym „kaczostanem" i powracam do spraw kaczych w północno-wschodnim zakątku naszego kraju.

Ostatnie kilka lat przechodzi w Wileńszczyźnie pod hasłem intensywnego urządzania stawów rybnych. Dziś nie mamy niemal ani jednego większego lub średniego majątku, nie mającego stawów rybnych, a ostatnio nawet drobni rolnicy interesują się tym „ubocznym użytkiem" gospodarstwa wiejskiego. Wiemy zaś dobrze, że dzikie kaczki szczególnie lubią gnieździć się na stawach rybnych, co należy tłomaczyć zarówno warunkami alimentacyjnymi, jak i względnym spokojem, panującym na sztucznych stawach — zwłaszcza większych. I oto obserwujemy przykłady — w niektórych miejscowościach wręcz jaskrawe i rzucające się w oczy — przegrupowania się kaczek z wód dzikich na stawy rybne. W pobliżu Wilna położone jest łowisko, składające się z paruset hektarów bagnistego lasu i zarośli (t. zw. rojstów), otaczających z trzech stron kilkadziesiąt ha jeziora, obramowanego nadto łozą i szuwarami. Tylko z jednej strony przylegają do tego jeziora cudze grunta włościańskie. Na wzgórzu tuż nad jeziorem dominuje nad całą przestrzenią gajówka, zamieszkała przez energicznego i oddanego całą duszą łowiectwu gajowego. Warunki więc — dla ochrony i rozmnoży kaczek wręcz idealne. Na jeziorze tem odbywa się co roku jedno polowanie w 3 — 4 strzelby na początku sezonu (w końcu lipca). Oto cyfry obrazujące od r. 1930 do r. 1938 wyniki tych jednodniowych polowań.

1930 —	105	kaczek	
1931 —	52	„	
1932 —	22	„	
1933 —	18	„	
1934 —	10	„	
1935 —	11	„	
1936 —	8	„	
1937 —	5	„	
1938 —	3	„	i 1 łyska

Cyfry to nader wymowne, albowiem (podkreślam to po raz drugi z całym naciskiem) warunki ochrony przed zakusami kłusowników, drapieżników, psów włóczących się etc. nietylko nie pogarszały się z roku na rok, lecz nawet się polepszały. Również odstrzał był co roku normalny i umiarkowany. Musiały więc i muszą istnieć inne jakieś przyczyny znikania kaczek z łowiska. Przyczyny dla mnie osobiście są nader proste. Oto sąsiad omawianego łowiska zaczyna stopniowo od r. 1931 urządzać i nawadniać stawy rybne na terenach, położonych mniej więcej o 2 klm. od naszego jeziora. Nawadnia początkowo kilka hektarów, potem więcej i wreszcie w r. 1938 posiada już około 50 ha stawów rybnych. W ciągu tych 7 lat kaczki przenoszą się stopniowo z wody dzikiej na wody sztuczne i wreszcie w roku bieżącym prawie zupełnie znikają z dzikiego jeziora...

Na pierwszy rzut oka opisane „przegrupowywanie się" kaczek z wód dzikich na wody sztuczne nie przedstawia nic niepokojącego. Zdawałoby się, że ilość kaczek pozostaje zawsze ta sama i tylko zmieniają się dotychczasowe skupiska kaczego gatunku.

*) Tylko śnieżna. Mimo niebywale surowej zimy 1928/29 r. kuropatwy na zachodzie Polski przezimowały bardzo dobrze, a sezon 1929 roku był wbrew powszechnym przewidywaniom jednym z lepszych jakie pamiętamy. Natomiast duże śniegi uniemożliwiają kuropatwom dostanie się do ozimin, których piórka są bodaj wyłącznym pożywieniem kuropatw w zimie. Ponadto przy dużych śniegach i trudności ukrycia się kuropatwy są wystawione na dziesiątkowanie przez jastrzębie i ptaki drapieżne, którym po czarnej stopie daleko trudniej spostrzedz kuropatwy. (Przyp. Red.).

Tak jednak nie jest. Po pierwsze, jeżeli chodzi o Wileńszczyznę, obserwujemy od lat kilku zmniejszanie się ilości kaczek również na stawach sztucznych. Proces ten odbywa się w znacznie wolniejszym tempie, niż na wodach dzikich, niemniej jednak jest faktem, stwierdzonym ponad wszelką wątpliwość. Po drugie — stawy sztuczne, stanowiąc dla dzikich kaczek atrakcję alimentacyjną jak również atrakcję z powodu względnego spokoju tam panującego, są jednak tylko wodami sztucznemi. Polowanie na stawach rybnych nigdy nie będzie sprawiało prawdziwemu myśliwemu tyle przyjemności, uroku, jak na wodach dzikich... Element niespodzianki, będący jednem z najsilniejszych wzruszeń myśliwskich, zostanie poniekąd wyeliminowany... Czyż praktykowane coraz częściej polowania na kaczki na stawach z naganką, polowania nastręczające myśliwym dużo emocyj strzeleckich, nie są jednak zarazem pozbawione poezji polowań na wodach dzikich?... Dalej — gospodarka rybna nie zawsze idzie w parze z gospodarką łowiecką, tak np. koszenie traw na stawach, niezbędne dla racjonalnej hodowli ryb, wpływa ujemnie na rozmnożę kaczek... Wreszcie — jeżeli o dalszą przyszłość naszych kaczych zwierzostanów chodzi, pamiętać należy, że wzrost przestrzeni, nadających się do sztucznego nawodnienia, jest z natury rzeczy ograniczony i że kaczki, które dotąd wyłącznie na wodach dzikich się gnieździły, nie znajdą już miejsc nowych dla „przegrupowania się" — innemi słowy — pojemność stawów sztucznych dla imigracji kaczek jest ograniczona zarówno co do przestrzeni, jak i co do warunków alimentacyjnych.

To też musimy zastanowić się nad innemi jeszcze przyczynami opuszczania przez kaczki wód dzikich.

Przyczyny tego zjawiska są różnorakie. Przytoczę kilka z tych przyczyn, które wydedukowałem z własnych spostrzeżeń, poczynionych w ciągu 15-letniej obserwacji warunków łowieckich Wileńszczyzny. Nie kuszę się przytem o całkowite wyczerpanie przedmiotu, jak również nie będę się spierał co do równorzędności poszczególnych przyczyn. Kwestja jest poniekąd nową i wymaga długich jeszcze obserwacyj i rozważań.

Meljoracje wodne. Są one bezsprzecznie w większym lub mniejszym stopniu wrogiem rozmnoży ptactwa wodno-błotnego. Obniżanie poziomu wód (jezior) nieraz o kilka metrów dla otrzymania nadbrzeżnych łąk lub pól uprawnych; regulacja błotnistych rzeczek, które zmieniają się w ocembrowane, pozbawione wodnej roślinności kanały; osuszanie mokrych łąk i rojstów — wszystko to wypędza ze zmeljorowanych terenów nietylko kaczki, lecz również kszyki, dubelty, kuliki... W Wileńszczyźnie mamy jaskrawy przykład zgubnego wpływu meljoracyj na „kaczostany"" w pow. brasławskim. Przykład ten już obudził głośne i liczne echa w prasie turystycznej i ochroniarskiej z powodu wybitnego zeszpecenia krajobrazu. Chodzi tu o słynny system jezior brasławskich, składający się z trzech wielkich jezior (Dryświata, Strusta, Snudy), szeregu jezior mniejszych oraz rzeki Drujki (dopływu Dźwiny).

Mniej więcej przed 10 laty system tych jezior mógł niemal konkurować z Polesiem co do ilości kaczek. Ubicie około 200 sztuk jednego dnia w 2 — 3 strzelby, było przeciętnym rezultatem w owych pięknych czasach. Lecz oto — zawiązuje się smutnej pamięci brasławska spółka wodna, mająca uszczęśliwić kmiotków pow. brasławskiego przez wydobycie z topieli jezior setek i tysięcy hektarów wspaniałych łąk. Zaczyna się radosna twórczość: po bagnistej Drujce krąży pogłębiarka — poziom wód w systemie jezior stopniowo opada — opada o z górą 2 metry poniżej poziomu poprzedniego. Wody jezior brasławskich cofają się o kilkadziesiąt, miejscami — o kilkaset metrów od dotychczasowych krawędzi brzegów. Miast szumiących trzcin i sitowia — zjawiają się ławice kamieni i żwiru — nagie lub porosłe rachityczną roślinnością. Miast dawnych pięknych brzegów i miast spodziewanych żyznych łąk — szerokie, szpecące krajobraz pasma pustyni, odcinające dotychczasowe brzegi od tafli wodnej. A obok tej szpetoty i zniszczenia — setki procesów sądowych o własność tych pasów pustynnych (bo jeziora brasławskie stanowią przeważnie własność odrębną od własności gruntów nadjeziornych)... No i kaczki z jezior brasławskich znikły prawie zupełnie. — Przytoczyłem przykład najbardziej jaskrawy. „Meljoracje" brasławskie przejdą zapewne do dziejów naszych niefortunnych i nieprzemyślanych eksperymentów, bowiem zniszczyły przyrodzony urok jednego z najpiękniejszych w Polsce pojezierzy, zniszczyły nieprzebrane bogactwa łowieckie, a ludności nie dały nic *). Jednak obok nieprzemyślanych i szkodliwych „meljoracyj" mamy meljoracje celowe i konieczne, jak np. t. zw. akcję łąkarską, polegającą na osuszaniu mokrych łąk i bagien, regulowaniu rzeczek i strumieni, budowie kanałów odwadniających. Tutaj następuje wyraźna i bodaj że nieusuwalna kolizja interesów łowiectwa z interesami kultury rolnej.



Stochód Fot. Z. Borysławski.

Akcja scaleniowa. Komasacja naszych szachownic chłopskich, będąca w zasadzie akcją nader celową i potrzebną, uległa — jeżeli chodzi o jej wykonanie— jaskrawemu wykoślawieniu. Czytelnicy przypominają sobie zapewne świetny artykuł red. Garczyńskiego z przed paru lat, krytykujący nasz „kotlinowy" system wykonania akcji scaleniowej. Olbrzymie, malownicze przestrzenie szachownic zmieniają się w kwadraty i kwadraciki „kotlin"—pojedyńczych osiedli, przeważnie nędznych, szpetnych, pozbawionych zadrzewienia. Jak taki kotlinowy system komasacji wpływa na zwierzostan polny — zające i kuropatw— o tem rozwodzić się niema potrzeby. Chciałbym tu podkreślić, że na wschodzie Polski akcja scaleniowa odbiła się ujemnie również na zwierzostanie kaczek. Na Wileńszczyźnie mamy cały szereg jezior dotąd obfitujących w kaczki. Jeziora te stanowią najczęściej własność odrębną od własności gruntów przybrzeżnych — przeważnie chłopskich. Zanim nie było komasacji, zwarte wioski położone były zazwyczaj w pewnej odległości od jeziora. Obecnie — tam, gdzie komasację zakończono — mamy zgoła inny widok. Oto kotliny ludzkie rozsiadły się wianuszkiem tuż przy brzegach jeziora, przyczem każda kotlina ma swój własny „dostęp do jeziora". W takiej sytuacji gdybyśmy nawet przypuścili, że kultura naszej wsi

*) Czy tak trudno naprawić błąd? — Wystarczy przez wybudowanie odpowiedniej przegrody podnieść poziom wód do użytecznej, względnie dawnej wysokości. (Przyp. Red.).

kresowej zrobiła wielki skok naprzód i że dziatwa chłopska wyrzekła się wybierania jaj kaczych, sprawa dla kaczek przedstawia się nadal beznadziejnie. „Dostęp do jeziora" — to i pojenie zwierząt gospodarskich, i pranie bielizny i wogóle ustawiczny harmider w cichych dotąd szuwarach jeziornych. A że, jak wiadomo, kultura naszej wsi pozostawia dużo jeszcze do życzenia, pewni być możemy, że proceder wybierania jaj kaczych będzie przy tym kotlinowym systemie zupełnie bezkarny.

Turystyka wodna. W ciągu ostatnich kilku lat rozwój turystyki wodnej osiągnął niemal punkt kulminacyjny. I młodzież i społeczeństwo starsze nie rozumie już niemal innego spędzenia wakacyj lub urlopu jak w kajaku lub w żaglówce. Mało znane doniedawna szlaki wodne są już poprostu zapchane kajakami i żaglówkami. Takie bagniste rzeki Wileńszczyzny, jak Dzisienka, Naroczanka lub Drujka, po których jeszcze przed 10 laty przemykała się zrzadka i cicho łódź myśliwego lub rybaka, są dziś szeroko reklamowanemi „szlakami wodnemi". Ruch kajaków i żaglówek, rozpoczynający się już od pierwszych cieplejszych dni maja, a więc właśnie w okresie lęgowym, bezwątpienia wypłasza kaczki z dotychczasowych ostoi. Jednak — czy może być wogóle mowa o „walce" z turystyką wodną, dającą turystom pierwszorzędne walory krajoznawczo-sportowe a przynoszącą miejscowej ludności niemałe korzyści materjalne? To też turystyka wodna stanowi obok meljoracyj celowych wielkie niebezpieczeństwo dla kaczek. „Walki" z tem niebezpieczeństwem łowiectwo nasze napewno nie wygra... *)



Rzeka Lwa. Fot. inż. J. Olszański

Zastanawiając się nad różnemi czynnikami, wpływającemi ujemnie na zwierzostan kaczek, nie chciałbym zamykać oczu na czynniki, będące prawie całkowicie w rękach nas, myśliwych.

Na pierwszem miejscu postawię tu bardzo, niestety, rozpowszechniony wśród naszych myśliwych pogląd, że, skoro kaczka jest ptakiem przelotnym, tedy nie zasługuje na jakieś specjalne względy hodowlano-ochronne. Przed kilku laty słyszałem od pewnego myśliwego, skądinąd inteligentnego, taką uwagę (powtarzam dosłownie): — „Dziwię się, że wogóle ustanowiono czas ochronny dla kaczek — przecież to ptaki przelotne". Przy takim poglądzie na kaczki, czy należy się dziwić, że poza nieliczną grupą myśliwych-hodowców o wyższej kulturze łowieckiej, większość naszych myśliwych ani nie interesuje się biologią kaczek, ani nie stosuje najskromniejszych zabiegów hodowlano-ochronnych. Znam hodowców, którzy hodowlę i ochronę zajęcy postawili w swych łowiskach na poziomie zupełnie zadawalającym, a którzy nie umieją czy nie chcą zainteresować się możliwościami hodowlanemi w stosunku do kaczek. Są w tym roku kaczki — dobrze, niema ich w roku następnym — trudno, bo to, paniedzieju, albo zagranicą wytłuczono kaczki w czasie przelotów, albo zbyt duża woda zatopiła gniazda, albo susza spowodowała wybranie jaj przez pastuszków. Słowem, duża woda — źle, mała woda — też źle, a myśliwy ani głową nie pracuje, ani palcem nie ruszy, by coś od siebie zrobić dla kaczek. Zaś argument, że kaczki są zwierzyną przelotną jest tem dziwniejszy, że, abstrahując od problemu międzynarodowej ochrony ptactwa wędrownego, spora ilość dzikich kaczek (krzyżówek) doskonale u nas zimuje, jeżeli tylko ma do dyspozycji pewną przestrzeń niezamarzającej wody i jakie takie warunki alimentacyjne.

Drugim czynnikiem zależnym od nas, myśliwych, a wpływającym ujemnie na ilostan kaczek jest zbyt wczesne rozpoczynanie polowań letnich. Myśliwi nasi, naogół dość cierpliwie wyczekujący końca terminów ochronnych na inną zwierzynę i nieśpieszący się z rozpoczęciem polowania np. na zające, są w stosunku do kaczek specjalnie agresywni. Nie darują — literalnie — ani jednego dnia biednym kaczkom. Stwarza się na poczekaniu tysiąc argumentów: — a to rozpoczynające się sianokosy przepłoszą kaczki, a to większość stadek już jest lotna i przeniesie się na wody otwarte etc. etc. Rok rocznie powtarza się ta sama historja. Rok rocznie niecierpliwy myśliwiec rozpoczyna polowanie na kaczki punktualnie dnia 16 lipca i — cóż się okazuje? Połowa stadek jest lotna, połowa — nielotna. Pierwsza połowa składa zwykle nieduży haracz śrutom myśliwskim, natomiast druga połowa ginie zazwyczaj w zębach „piesków". I to ma być polowanie?... Pewien stary myśliwy wileński nazwał taki rodzaj „łowów" niezbyt estetycznem, lecz niemniej trafnem mianem — „wybieranie wszy z kożucha"... Gdybyśmy się nie śpieszyli z rozpoczęciem polowań letnich, gdybyśmy cierpliwie czekali na „bukiety" kaczek wytryskujące z szuwarów gdzieś na przełomie lata i jesieni, gdybyśmy nasze apetyty odkładali do prześlicznych ciągów wieczornych — tobyśmy bezwątpienia mieli więcej kaczek, więcej prawdziwych wzruszeń łowieckich... I nie mielibyśmy w głębi duszy tego uczucia niesmaku, jakie nas ogarnia po mordowaniu nielotnych kacząt.

Do naszych grzechów myśliwskich należy też pewna rekordomanja, która nas ogarnia przy polowaniu z krykuchą i na wabia. Od czasów Aksakowa panuje wśród myśliwych przekonanie, że nawet intensywny odstrzał kaczorów na wiosnę jest w celach hodowlanych niemal zbawienny, gdyż ratuje samicę od natarczywości samca, ratuje zniesione jaja przed zniszczeniem przez kaczora i t. p. Radbym, by któryś z myśliwych poleskich wypowiedział się na ten temat, ja jednak uważam, że już czas najwyższy poddać powyższy pogląd pewnej rewizji. Wiemy dobrze, że kaczory najchętniej i najlepiej lecą na wab krykuchy lub wabiarza w okresie wczesnej wiosny t. j. w okresie, gdy są potrzebne dla zapładniania samic. Natomiast w okresie późniejszym (połowa maja), gdy to już wszystkie samice siedzą na jajach, kaczory — wbrew rozpowszechnionym poglądom i opowiadaniom pp. myśliwych — bynajmniej nie odznaczają się wielką agresywnością erotyczną. Czy to sprawiają przeżyte trudy miłosne, czy może oczekiwany okres lenienia, dość, że kaczory stają się w połowie maja raczej senne i naogół obojętne na zew krykuchy. Ileż

*) Z tą turystyką, jeśli chodzi o kaczki, nie jest tak źle. Kaczki na otwartej wodzie, po której odbywa się ruch kajaków i żaglówek, szczególniej w czasie lęgowym, nie przebywają, a trzymają się po trawach i szuwarach, tając się w nich spokojnie choćby kajak lub żaglówka o parę metrów przepływała koło nich. Niewątpliwie też przyzwyczajają się do tego ruchu niepołączonego z ich prześladowaniem, a wtedy powstają zjawiska takie jak w Gorzyczkach o których wspomina Szanowny Autor na początku niniejszego artykułu. (Przyp. Red.).

to razy obserwujemy w połowie maja taką scenę z budki: krykucha wrzeszczy jak najęta, a kilka kaczorów spokojnie pływa w odległości 150 — 200 kroków, jakby nie zwracając uwagi na krzyk krykuchy. Nie przeczę, że i w końcu maja zdarzają się wypadki szczególnej agresywności kaczora w stosunku do samicy i jej gniazda, lecz sądzę, że wypadków tych nie należy uogólniać w obronie zbyt intensywnego odstrzału kaczorów na wiosnę. Jak słusznie stwierdził niegdyś prof. Domaniewski, z „poprawieniem przyrody" należy sobie poczynać nader oględnie i wnikliwie.

*

Pozwoliłem sobie uszeregować szereg przyczyn, które wpływają na pogorszenie naszego „kaczostanu". Niektóre przyczyny może mimowoli przejaskrawiłem, o innych — może zapomniałem. Wdzięczny będę kolegom myśliwym za dyskusję na temat, który — jak sądzę — jest dość aktualny.

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI

*

Podzielając najzupełniej wywody Szanownego Autora, Redakcja uważa za najistotniejsze dwie ostatnie poruszone przez niego kwestje: sprawę rozpoczęcia polowań na kaczki i sprawę polowań na kaczory. Bez żadnej wątpliwości rozpoczynamy polowanie na kaczki zawcześnie. Przez całą drugą połowę lipca conajmniej trzecia część kaczek jest nielotnych. Niepokojenie zwierzyny w czasie, kiedy wychodowania młodych nie ukończyła, jest zarówno z punktu widzenia gospodarczo-myśliwskiego jak i etycznego w najwyższym stopniu niewłaściwe. Widok kłapaka z krzykiem przerażenia uciekającego przed goniącym go wyżłem na każdego prawdziwego myśliwego musi wywierać przykre wrażenie. Niemniej przykry widok sprawia ubita starka, z reguły padająca ofiarą tych przedwczesnych łowów. Usłużna teorja wysunęła nawet tezę że właśnie starkę należy przedewszystkiem ubić, bo wtedy młode „nie wyjdą". Istotnie — nie wyjdą, czy się jednak bez troskliwej opieki matki wychowają to pytanie, natomiast nie jest już pytaniem że ubita starka napowrót do tych samych miejsc nie wróci i młodych w następnym roku nie wyprowadzi... Niewątpliwie też taka doświadczona starka dla dalszej rozmnoży przedstawia większą wartość niż nieumiejąca się jeszcze borykać z trudnościami kaczego żywota młódka.

To też najzupełniej słuszną jest uchwała Międzynarodowej Rady Łowieckiej aby polowanie na kaczki rozpoczynało się 1 sierpnia. Te przedwczesne pogromy i rozpędzanie nielotnych jeszcze kaczek powinny ustać.

Niemniej ważną jest sprawa wiosennych polowań na kaczory. Nie podzielam teorji, że odstrzał ich na wiosnę jest wskazany, że niepokoją kaczki i tłuką jaja. Już to, o czem wspomina Szanowny Autor — że kaczory w maju nie reagują na krykuchę — daje dużo do myślenia i potwierdza uwagę Sz. Autora że wyczerpane miłosnemi trudami kaczory nietylko nie myślą o tłuczeniu jaj ale wogóle już nie myślą o kaczkach. Od czasów Aksakowa błąka się ta teorja o tłuczeniu przez kaczory jaj w celu zdobycia ponownie samicy, ale czy to kto naprawdę widział i czy to naprawdę przybiera rozmiary, mające jakiekolwiek istotne znaczenie dla kwestji wychowania młodzieży? Sądzę że jest to raczej jeden z przesądów myśliwskich i że uwaga prof. Domaniewskiego o niepoprawianiu natury jest w tym wypadku jaknajbardziej na miejscu.

Natomiast poważne wątpliwości z punktu widzenia hodowlanego a także ogólno-myśliwskiego musi nastręczać uprawiane w obecnych rozmiarach wiosenne polowanie na kaczory. Chodzi tu o niedoceniany należycie przy rozpatrywaniu różnych kwestyj hodowlanych z dziedziny łowiectwa moment psychologiczny.

Kaczka należy do ptaków monogamicznych. Aczkolwiek kaczor w wysiadaniu jaj i wychowaniu młodych udziału nie bierze, to jednak z kaczką żyje jak przykładne małżeństwo, wykazując względem swej małżonki głębokie, choć może przepojone nadmierną zmysłowością, przywiązanie. Jeśli więc możnaby się zgodzić, że zabicie samotnego kaczora dla rozmnoży kaczek jest sprawą obojętną, to zabicie tegoż kaczora od kaczki lub tembardziej w jej obecności, niewątpliwie jest połączone dla przystępującej do rozmnoży kaczki z wzruszeniami psychicznemi, nie mającemi dobrego wpływu na rozmnożę. Jest przytem kwestją, czy kaczka tak odrazu drugiego kaczora znajdzie i czy nowy kandydat potrafi jej bez reszty zastąpić poległego małżonka. Wchodzą tu w grę bardzo subtelne kwestje z dziedziny psychologii, o których niestety niewiele wiemy. Gdyby chociaż polowanie wiosenne na kaczory odbywało sie jedynie z krykuchą i na wab. Ale wiemy że po mniej lub więcej skutecznem wabieniu zamienia się ono na polowanie z podrywu, przyczem na skutek trudnych nieraz do uniknięcia omyłek pada niejedna kaczka. To ostatnie jednak jest jeszcze najmniejszem nieszczęściem; daleko ważniejszem jest niepokojenie kaczek w porze lęgowej i wypłaszanie względnie wprost wypędzanie z miejsc, w których by chciały gniazdo założyć. Jest bardzo możliwem, że miejsc, w których jest niepokojona w porze lęgowej, zwierzyna w następstwie unika. Czy nie w tem leży odpowiedź na pytanie, dlaczego wiele miejsc, znakomicie nadających się na lęgi, jest jednak pustych. I czy właśnie sposób podany w Kalendarzu Myśliwskim przez p. Tukałłę na ponowne „zakaczanie" pustych rewirów nie jest właśnie oparty na przezwyciężaniu przeszkód natury psychicznej t. j. poprostu braku ufności kaczek do unikanego, nieuczęszczanego przez kaczki miejsca? Wszystko to są kwestje stanowiące pole do ciekawych badań i doświadczeń, kwestje, które nie mogą być rozstrzygnięte na podstawie wytartych i bezmyślnie powtarzanych argumentów i komunałów.

Wobec braku dotychczas definitywnej odpowiedzi na poruszone kwestje nie wypowiadam się bezwzględnie przeciwko uprawianiu wiosną polowań na kaczory, jestem jednak zdania, że są to polowania, które mogą być uprawiane tylko w ograniczonym zakresie i wszelkie liczbowe rekordy w tej dziedzinie winny być jaknajostrzej potępiane. Kaczor pod względem kulinarnym wiosną nie przedstawia wielkich walorów, trudno zaś przypuszczać, aby ktoś, co zabija około setki lub więcej kaczorów dziennie wszystkie je oddał do wypchania do kolekcji. Pocóż więc masowo wybijać zwierzynę, z którą potem niewiadomo co robić? Czy nie lepiej odłożyć ten odstrzał na jesień? Nasz obecny system polowania na kaczory winien być poddany wszechstronnej rewizji.

Tak jak wypowiadam się przeciwko nadmiernemu niepokojeniu kaczek wiosną i w początku lata, t. j. w okresie rozmnoży, kiedy kaczorom należy się spokój i ochrona tak również jestem przeciwny strzelaniu kaczek zimą t. j. po Nowym Roku a więc w czasie kiedy główny haracz w postaci jesiennego odstrzału został już pobrany, kiedy kaczki w znacznej mierze schudły i straciły swe wartości kulinarne i kiedy cierpią biedę i głód i są nieraz w obliczu grożącej im zagłady. Prawdziwego polowania o tej porze już niema, a zamiast dorywczych strzałów należałyby się kaczkom od myśliwych, tak jak i innej zwierzynie w podobnych warunkach, pomoc i opieka, a nie bezmyślne kaleczenie śrutem z dalekich odległości.

W. GARCZYŃSKI.

NA CIECIERUKI

Opustoszały pola, ścierniska pokryły się czerwonordzawym kobiercem miodowych wrzosów. Upojne powietrze dojrzałych zbóż przemieniło się w surowy zapach świeżo zaoranych ugorów i wąskich, biegnących w nieskończoność, podorywek. Pola straciły swój różnobarwny ton, łąki — wiosenny kobiercowy wygląd. Gdzieniegdzie szmat zapomnianej gryki, lub zielony prostokąt buraków, odcinały się jaskrawo od szarego otoczenia nęcąc rozmaitością zmęczone jednostajnością oczy. Lasy natomiast i zarośla zyskały bardzo dużo. Dojrzałe jarzębiny i głogi przyodziały czerwienią liczne krzaki i drzewka. Mszary i rojsty obsypały się rubinami żórawin i czerwonemi paciorkami borówek.



Jarząbki. Fot. T. Pacyna.

Młódź cietrzewia pod troskliwą opieką cieciorek spokojnie tuczyła się najbardziej ulubionym pokarmem, pochłaniając olbrzymie ilości dojrzewających jagód. Brzozowe zagajniki i rozległe rojsty napełniły się życiem.

W poleskiej głuszy, daleko od większych środowisk ludzkich, na zakręcie zaniedbanej drogi, ukazała się furmanka. Mały poleski konik bez wysiłku, opędzając się ogonem od much, ciągnął po bezdrożach rozklekotany wózek. Z przodu siedział zarośnięty poleszuk, ubrany w barani kożuch, nieczuły na promienie słoneczne, które zdawałoby się odbijały od jego zimowego okrycia. Z pod futrzanej czapki ściekał licznemi strugami pot. Z tyłu na sianie, pokrytym derką, ulokował się pasażer. U jego stóp leżał pies. Wszystko to razem wyglądało na myśliwską wyprawę. Obok leżący futerał myśliwskiej strzelby dopowiedział resztę.

„Herasym — czy wam nie gorąco w tym kożuchu — zapytał się troskliwie pasażer, spoglądając z podziwem na woźnicę.

„Prywykłem panie" — odburknął chłop nasuwając ręką czapkę na czoło. „A jak tam w tym roku z cietrzewiami" — usiłował kontynuować rozmowę przyjezdny.

„Ciecieruków jest dosyć po krzakach" — odpowiedział niechętnie, zdradzając bardzo małe zainteresowanie zarówno do tematu, jak i do samej rozmowy wogóle.

Djablo skryty i nierozmowny naród ci poleszucy pomyślałem w duchu, rozglądając się po otoczeniu. W tej okolicy Polesia byłem po raz pierwszy. Jechałem zapolować na młode cietrzewie z wyżłem, na nowo wynajętym terenie, położonem niedaleko od moich głównych poleskich obszarów łowieckich. Cietrzewi coprawda miałem dość dużo u siebie zarówno na Polesiu, jak i w Grodzieńszczyźnie, jednak polowanie na nowych terenach pociąga zawsze nieodpartym urokiem czegoś nieznanego, owianego tajemniczością i zagadkowością. Nowy teren, nowi ludzie i nowe otoczenie emocjonująco oddziaływają na każdego myśliwego, wzbogacając zasób doznanych wrażeń.

Jechałem z wyjątkową przyjemnością, rozglądając się z ciekawością po nieznanej mi okolicy. Tymczasem widoki zmieniały się jak w kalejdoskopie. Gęsty zagaj brzozowy zniknął nagle i przed oczami rozpostarły się bezkresne rojsty i mszary. Czasami pojedyńcze sosny i mniejsze krzaki zdobiły rozległą powierzchnię. W dali na horyzoncie czernił się bór. U jego stóp w zarośniętych olszyną brzegach, płynęła poleska rzeczułka, nieduży dopływ Jasiołdy. W przybrzeżnych krzakach, zaroślach i przyległych łąkach miało być dużo cietrzewi. Coprawda po całych mszarach porozrzucane były dość liczne stadka, lecz z powodu rozległości terenu trudno je było wynaleźć, nawet z dobrym psem. Tu natomiast zbliżały się cietrzewie do podmokłych łąk i wód i przebywały stale w tych samych miejscach, dobrze znanych mojemu strażnikowi łowieckiemu.

Im bliżej dojeżdżaliśmy do celu naszej wyprawy, tem większa niecierpliwość ogarniała mnie. Nawet pies, przeczuwając widocznie moje zdenerwowanie, zaczął się kręcić na wozie, tak, że zmuszony byłem wypuścić go do przydrożnych krzaków.

Wreszcie bór wyrósł przed nami jak ściana, a po przeciwnej stronie błotnistej rzeczki, na skraju lasu ukazała się nędzna chatyna. Furmanka przetoczyła się z łoskotem po chwiejnym mostku i zatrzymała się przed chatą. Na szczekanie psa skrzypnęły drzwi i po chwili ukazał się w nich mój strażnik łowiecki Nikonor. Szedł szybkim krokiem z zadowoleniem na twarzy.

„Przyjechali panie"—rzekł na przywitanie, pomagając mi wysiąść z furmanki. Tymczasem mój wyżeł zapoznał się pobieżnie ze wszystkim, co było w chacie i w najbliższem jej otoczeniu i w poczuciu spełnionego



Pan K. Krzywoń z Katowic z pomocnikami przy ubitym przez siebie mocnym rogaczu podhalańskim w Bystrej. Wys. 24,5 cm.; obwód 22,5 cm. Fot. Inż. Kotterman.

obowiązku usiadł przed drzwiami, czekając widocznie na dalsze moje poczynania. Spojrzałem na zegarek. Za dziesięć minut trzecia. Za godzinę można będzie rozpocząć polowanie.

Tymczasem wniesiono do chaty walizkę, pakunki i strzelbę. Nikonor podejmował nas, to znaczy mnie i mojego nierozłącznego towarzysza psa, z całą godnością i gościnnością. Wkrótce na stole, nakrytym białem płótnem, pojawiły się takie wiejskie przysmaki jak; miód, ryba, biały chleb i placki na oleju. Wszystko to znikało z zadziwiającą szybkością. Ja skrzętnie pustoszyłem zastawę stołu, Bej — tak bowiem nazyzywał się mój wyżeł, z głośnem mlaskaniem i nieprzeciętną żarłocznością opróżniał misę z mlekiem i kartoflami. Panowało ogólne zadowolenie i harmonja. Nikonor cieszył się, że gość miał wilczy apetyt, my byliśmy zadowoleni z królewskiej uczty, którą przygotował nam dobroduszny poleszuk. Wreszcie obiad został doszczętnie zjedzony. Przez ten czas Nikonor wyjął strzelbę z futerału, przetarł lufy i przygotowawszy troki i torbę z nabojami oświadczył, że możemy wyruszyć w pole.

Zarzuciłem strzelbę na ramię, gwizdnąłem na psa i w pół godziny później byliśmy w terenie. Pogoda dopisywała w pełni. Sierpniowe słońce przypiekało jeszcze dość mocno. Dzień był jasny, powietrze przejrzyste i spokojne. Wtem Bej zaczął zdradzać pewne zdenerwowanie i po kilkunastu krokach skamieniał w stójce. Stał twardo i pewnie. Zwierzyna musiała być gdzieś blisko i mocno przyczajona. Dopingowany mojemi wskazówkami postąpił kilka kroków i ponownie zesztywniał. Jeszcze jeden ruch i z pobliskiego krzaka z klekotaniem podniosła się stara cieciorka. Poderwałem broń do oka.

Nie strzeliłem.

Gdybym zabił starą kurę, nie miałbym na przyszły rok w tym miejscu licznego stadka. Wstrzemięźliwość moja zresztą została szczodrze wynagrodzona. Za chwilę trzy farbowiki z łoskotem poderwały się nad zarośla, do których udało mi się zrobić pięknego dubleta. Stadko było liczne i dobrze wyrośnięte. Z dwunastu młodych cietrzewi odstrzeliłem siedem, sześć farbowików i jedną młódkę. Pozostałe rozsypały się po terenie. Tych nie szukałem ze względów hodowlanych. Pies pracował bardzo dobrze i przyaportował wszystkie zestrzelone sztuki.



Na mchach Jelniańskich. „Frant" mec. W. Łuczyńskiego.

Tego dnia Święty Hubert był łaskawy dla nas. Wkrótce, po dwóch sromotnych pudłach, zestrzeliłem pięknego, starego koguta z dobrze odrośniętą lirą. Na trokach, na tle farbowików, wspaniale prezentował się. Był prawdziwą ozdobą wiązki.

Wtem na lewo odemnie buchnął strzał, a za chwilę drugi. Strzelać mógł tylko Nikonor, gdyż nikogo prócz niego nie było ze strzelbą. Musiał spotkać jakiegoś drapieżnika, lub włóczącego się psa — pomyślałem, gdyż do zwierzyny mój strażnik nie strzelał, tembardziej w mojej obecności. Przewidywania moje okazały się słuszne. Za chwilę ukazał się między krzakami uradowany poleszuk, trzymając w ręce olbrzymiego jastrzębia.



Mchy Jelniańskie. Po polowaniu w folw. Zielonce p. Mikołaja Charczenki.

„Brawo Nikonor! — na przyszły rok napewno będziemy mieli o kilka stadek cietrzewi więcej" — zauważyłem, biorąc z jego rąk wspaniały okaz drapieżnika.

„Już dwunasty w tym roku, proszę pana, ale takiego jeszcze nie miałem — czysty djabeł — co on musiał ciecieruków natłuc".

Bej ze wstrętem obwąchał jastrzębia i widocznie doszedł do tego samego wniosku, gdyż bez żadnego, widocznego powodu, zaczął radośnie naszczekiwać. Słońce chyliło się ku zachodowi, trzeba było śpieszyć się, gdyż chciałem przeszukać jeszcze jedno miejsce, gdzie według opowiadań Nikonora lubiły gromadzić się w większej ilości stare koguty. Chłopak, towarzyszący nam, zabrał upolowane cietrzewie, a my pozbawieni ciężaru szybko ruszyliśmy w znanym kierunku. Zachód słońca zastał nas powracających z polowania. Udało mi się jeszcze zdobyć trzy stare koguty.

Zmęczeni i pełni zadowolenia podziwialiśmy piękną, owianą jakimś nadziemskim smętkiem, poleską naturę, która swojem czarodziejskiem odziaływaniem, żłobi tak głębokie ślady w duszy przygodnego podróżnika - poszukiwacza wrażeń, jakim jest każdy myśliwy. Szuka on natury w jej dziewiczej, nietkniętej postaci, biegnie ślepo na jej zew i poddaje się wszechpotężnej mocy, która ogarnia i wchłania go w siebie całkowicie. Te potężne uczucia mogą wzbudzić w duszy człowieka tylko szumiące knieje, lub rozległe mszary i rojsty Polesia.

EDWARD BOHDANOWICZ.

WOJNA I JELEŃ

Nastawienie jeleni do wojny jest napewno... negatywne, gdyż jest ona dla nich może jeszcze groźniejszą w skutkach i bardziej wyniszczającą, niż dla ludzi. Wiadomo, że człowieka naogół trudno jest zabić— a statystyki wojny światowej podają nam napozór nieprawdopodobne liczby... ile to tysięcy razy trzeba było wystrzelić z armaty, by zgładzić jednego człowieka i wiele setek tysięcy zużyto nabojów karabinowych dla unieszkodliwienia jednego żołnierza. Tak to wojna potwierdziła trafność przysłowia, że człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi...



Rozpoczynam sezon.

I choć straszliwa instytucja wojny, którą człowiek wymyślił, naszykowana jest na zagładę rodu ludzkiego, rykoszetem swych skomplikowanych skutków godzi dotkliwie w byt zwierzostanów. Po wojnie mądrzy rachmistrze zasiedli do obliczeń i urbi et orbi wreszcie ogłosili, że ludzie byli i są, a zwierzyna była, lecz jej niema.

Nic też dziwnego, że każdy rozumny jeleń jest zasadniczym wrogiem wojny. Nie miałbym jednak racji, gdybym chciał twierdzić, że świat zwierzęcy nie zna bojów i śmiertelnych zapasów. Nigdy one jednak nie przybierają rozmiarów kataklizmu dla danego gatunku, nigdy nie są prowadzone z taką perfidną i zespołową przemyślnością — i nietyle o żer, ile raczej głównie chodzi o miłość, a więc o wyższe przejawy szlachetnej rywalizacji, koniecznej zresztą dla zdrowia i żywotności gatunku. Tem więc różni się homo sapiens — od jelenia...

Czas jednak przejść od tych dygresyj do tematu, którego bohaterem jest karpacki jeleń, objęty działaniami wojennemi w okolicach Panterpasu. Już od paru miesięcy nie miał on chwili spokoju. W karpackich kniejach działo się coś w jego rozumieniu niesamowitego. Najbardziej niedostępnemi matecznikami przedzierały się chyłkiem jakieś gromady ludzkie, w bezdroża pchały się sznury wozów skrzypiących. Kręcił się dwunastak z kąta w kąt, lecz wszędzie niepokoiły go odgłosy ruchu, powodowanego przez obcych mu z widoku intruzów. Nadomiar złego bór brzmiał echem dalekich wybuchów, przypominających gromy w czasie wielkiej burzy. Całe kaskady detonacyj bliższych niosły się zboczami górskiemi i przenikały las. Nasz jeleń już się nieco przyzwyczaił do tych huków i wiedział, że nie zwyczajna powoduje je burza. Uciekał naoślep, lub jak posąg całemi godzinami stał w gąszczach bez ruchu, wsłuchując się bacznie w odgłosy rozgwaru. Dawno już utracił łączność z chmarą. Był samotny, wystraszony i zły. A gdy jeszcze wspomniał sobie, że najazd ludzki w tej części Karpat udaremnił zupełnie rykowisko i przekreślił wszystkie jego rozkoszne marzenia i plany — strwożone serce jelenia ściskał głęboki żal. Wzdrygnął się... gdyż doszedł go szum świeżej kanonady gdzieś z pod Stanisławowa,— więc ściszył niewyżytą burzę krwi. W tym nastroju znalazł się nasz jeleń z początkiem listopada 1914 w rewirze Turbaczil.

Kilkanaście kilometrów od miejsca ponurych deliberacyj samotnego jelenia, na ziemi węgierskiej w promieniach słońca i blaskach potężnych narodowych nadziei, maszerowały długie szeregi niebieskich żołnierzy. Nieliczna ludność Kenigsfeldu (niedawno byli tu Moskale) z radosnym zdumieniem witała rogate wojsko, jakieś odmienne niż wszystkie inne, rozśpiewane, pełne animuszu i dziecięcych niemal twarzy. Pieszczone szumem lotu Orła Białego w karnych czwórkach ku swemu przeznaczeniu płynęły oddziały za oddziałami.

Przed frontem kompanii na jednym z postojów zjawił się Generał Durski. Po krótkiej rozmowie z oficerem staruszek się oddalił, poczem oficer podszedł do naszego plutonu i rozkazał wystąpić trzem legionistom, umiejącym po niemiecku. Zrozumieliśmy, że chodzi o jakąś misję, która spowoduje rozłąkę z towarzyszami, wobec czego nagle wszyscy utracili znajomość niemieckiej mowy i — nikt się na ochotnika nie ruszył. Ale podoficer wskazał na mnie i jeszcze dwóch obywateli i nie było rady. Żelazna Brygada ruszyła dalej, a my we trójkę objęliśmy czasowo służbę przy posterunku telefonicznym u stóp Karpat, w leśniczówce Turbaczil.

Wszyscy byliśmy z tego przydziału niezadowoleni, ale objęliśmy posłusznie swe funkcje — i zaczęliśmy telefonować. Szły ciągle rozkazy i meldunki z grupy gen. Pflanzer-Baltina, które przetelefonowywaliśmy. Dzień i noc trwaliśmy przy tych aparatach lecz mieliśmy i trudności, gdy próbowano z nami węgierskiej konwersacji. Razem w trzech umieliśmy tylko jedno słowo po węgiersku: igen. Więc jak tam jakiś oficer ze sztabu zaczynał pogwarkę po madziarsku, mówiliśmy: igen.

Już po pierwszym dniu, gdyśmy po forsownym marszu wypoczęli i należycie się wyspali — zaczął nas ten tryb życia nudzić. Nadto zorjentowaliśmy się — o czem przedtem nikt nie pomyślał — że jesteśmy w tej pięknej zresztą jak pałacyk leśniczówce, poprostu wzorem Robinsona na bezludnej wyspie, opuszczeni w borze i pozbawieni żywności. Wobec tego po wyczerpaniu zapasów już na drugi dzień, jeden telefonował, a dwóch przy drodze żebrało u przechodzących oddziałów o kawałek chleba lub puszkę konserwy...

Początkowo bawiła mnie ta niezwykła sytuacja i, mając dużo wolnego czasu, zlustrowałem całą leśniczów-

kę od stóp do głów. Do jedzenia naturalnie nic nie znalazłem, natomiast na strychu natknąłem się na olbrzymi skład rogów jelenich od dziesiątków lat tu zbieranych i leżących bezużytecznie. Było dużo zrzutów, ale więcej prawidłowo odpiłowanych wieńców i tu porzuconych w stertach, sięgających dachu. Widok ten w związku z pogarszającą się naszą aprowizacją, nasunął mi zbawczą myśl... Trzeba się udać na łowy do zielonej dąbrowy, powiedziałem sobie w duchu, złażąc ze strychu. W jakimś zakamarku znalazłem pilnik i nim przeciąłem kilka kul manlicherowskich. Karabin miałem doskonały, ochoty bardzo dużo... Zacząłem krążyć po górskich zboczach, a tymczasem dwaj pozostali obsługiwali ten telefon.

Dosyć się nabłądziłem i namyszkowałem, zanim trzeciego dnia zoczyłem samotnego rogala na przeciwległym skłonie górskim, stojącego w kontemplacji wśród wysokich traw. Było ciche, słoneczne przedpołudnie, gdzieś daleko grały działa... Miałem dość czasu, ułożyłem się spokojnie na ziemi i wygodnie oparłem manlicher na pniaku. Ustawiłem celownik na 300 i długo ćwiczyłem się, wodząc muszką po łopatce byka. Wreszcie, starając się mierzyć jaknajdokładniej — strzeliłem. Jeleń poderwał się gwałtownie, stanął jakgdyby dęba, w szalonych susach runął w gąszcz i znikł mi z oczu.

Otrząsnąłem się z emocji i zacząłem spokojnie rozważać. Jeśli uciekł, Bóg z nim, ale chyba dostał, bo czemuby tak skakał w razie pudła. Zaznaczyłem gałęzią pniak i dobrze zauważywszy miejsce zestrzału, ruszyłem pośpiesznie do domu. Okazało się, że kolega przy drodze nic nie użebrał i że na obiad mamy tylko trochę kukurydzianej mąki. Ugotowaliśmy ją i zjedli bez soli i omasty, poczem we dwóch rączo pobiegliśmy na miejsce mego kłusowniczego wyczynu. Ja pozostałem przy pniaku i stąd dyrygowałem marszem towarzysza. Ten zeszedł w jar a potem, pnąc się zboczem, na mój znak zatrzymał się w miejscu, gdzie według mej orjentacji stał jeleń w chwili strzału. Zgodnie z umową miał tam tkwić i czekać na moje przybycie. Pełen wątpliwości i ciekawości przez wykroty i gąszcza jaru dotarłem do towarzysza i ten od razu wskazał mi na obfity bluzg farby, widoczny na krzewach i trawach. Postępując śladem połamanych roślin, po kilkudziesięciu już krokach natknęliśmy się na leżącego bez życia jelenia. Ucieszył mię i oszołomił widok tak poważnej zdobyczy. Wobec wyjątkowych okoliczności — stłumiłem w sobie nasuwające się skrupuły...

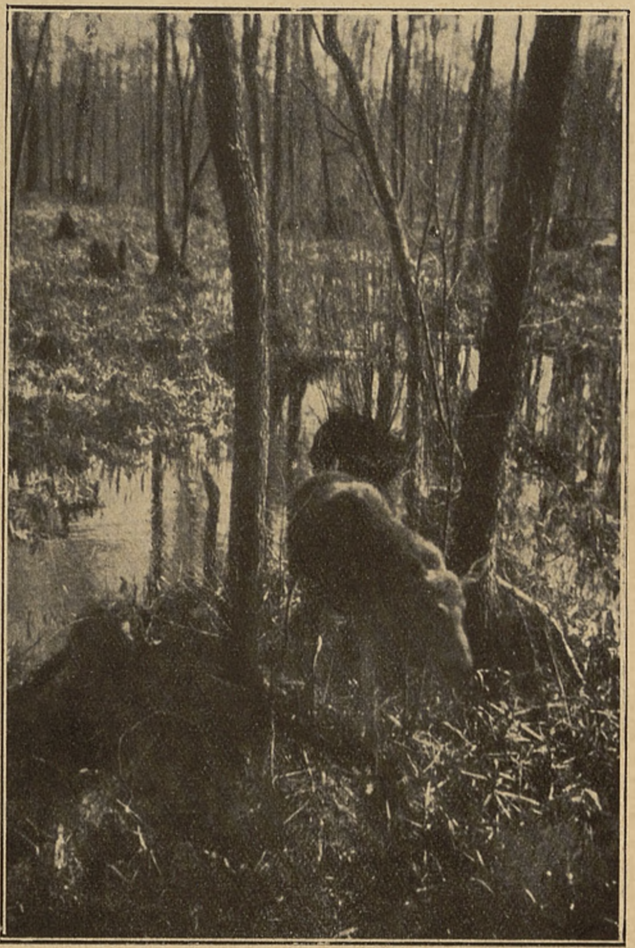


Król i adjutant. Fot. St. Cenkier.

Aby należycie zużytkować jelenia napracowaliśmy się niemało. We dwójkę tylko kilkanacie kroków na wolniejsze miejsce zdołaliśmy go przesunąć. Tymczasem zapadł wieczór. Nazajutrz, od wczesnego ranka, zaopatrzywszy się w przyrządy, wszyscy trzej zabraliśmy się do niezbyt miłej roboty. Tymczasem osierocony telefon dzwonił...

Gdy próby przeniesienia jelenia w całości na leśniczówkę, okazały się niewykonalne, postanowiliśmy go wypatroszyć na miejscu, zdjąć skórę, odciąć wieniec i transportować w kawałkach. Towarzysze imali się tego dzieła, ja sam pognałem do telefonu. Dzwonił... Zgłosiwszy się, usłyszałem jakieś węgierskie larum, w którem widocznie nie najlepsze wyrazy, powtarzały się po kilka razy. Więc odpowiedziałem: igen.

W południe jeleń był już w komplecie na leśniczówce, a wkrótce potem zjawiła się austrjacka inspekcja telefoniczna. Po zbadaniu aparatów inspekcja znalazła jakiś błąd, zameldowała o tem do sztabu i wszystko było w porządku. Za to dostała przystojny kawał jeleniny...



W Lado. Fot. J. Paplic.

Jedną ćwiartkę zachowaliśmy dla siebie. Z resztą zrobiliśmy handel wymienny. Od przejeżdżającej kolumny terenowej, otrzymaliśmy połeć słoniny, soli, cukru i kawy. W tym cudownym zakątku, otoczonym wspaniałym borem, dzięki jeleniowi, świat teraz przedstawiał się nam jeszcze piękniej... Wieniec osobiście zaniosłem do archiwum zbiorów poroży jelenich na strychu.

Lecz żądza przygód nie dawała nam spokoju. Żarła nas tęsknota za kompanią i towarzyszami broni. Ciche wieczory przynosiły nam dalekie odgłosy rozgrywających się bez nas walk. Czuliśmy się nieszczęśliwi i zaczęło nam być duszno i coraz ciaśniej na leśniczówce. Nie na to wstąpiliśmy do Legionów, by telefonować...

Działając na własną rękę oddaliśmy posterunek jakimś landszturmowym maruderom austrjackim i pośpiesznym marszem, drogą przez Panterpas dążyliśmy do Rafajłowej. Wstąpiliśmy znów na ten ofiarny szlak, który w wizjach naszych i marzeniach wiódł nas ku wolnej Ojczyźnie.

INŻ. DR. JAN PODGÓRNY.



Motyw z Polesia. Fot. A. Dobrski.

JESZCZE NA TEMAT PARDW I CIETRZEWI

W numerze 23 „Łowca Polskiego" z r. b., w protokóle posiedzenia Komitetu Wykonawczego P. Z. Ł. z dnia 21 lipca 1938 r. czytamy: „Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych zwróciło się do Związku o opinję w sprawie zamierzonego zamknięcia na przeciąg lat trzech polowań na pardwy oraz rozszerzenia czasu ochronnego dla cietrzewi. Komitet Wykonawczy uchwalił złożyć Ministerstwu Rolnictwa i R. R. 1) wniosek o rozszerzenie na przeciąg lat trzech czasu ochronnego dla pardw tak, aby obejmował on okres od 1 lutego do 31 sierpnia; 2) wniosek o rozszerzenie czasu ochronnego dla cietrzewi-kogutów tak, aby obejmował on a) w woj. wileńskiem i nowogródzkiem — okres od 1 grudnia do 15 marca i od 1 czerwca do 31 sierpnia, b) w województwach pozostałych — okres od 1 grudnia do 15 marca i od 1 czerwca do 15 sierpnia, 3) wniosek o rozszerzenie w woj. wileńskiem i nowogródzkiem czasu ochronnego dla cietrzewi — kur tak, aby obejmował on okres od 15 września do 31 sierpnia".

Powyższy protokół dla laika zawiera tylko kilka bezbarwnych, suchych zdań — w stosunkach łowieckich jednak zdania te posiadają doniosłe znaczenie, są poniekąd rewelacją, gdyż zasadniczo zmieniają dotychczasowy prawie obojętny, stosunek społeczeństwa łowieckiego do pardwy i cietrzewia, tych dwóch najpiękniejszych gatunków naszej zwierzyny lotnej. Wprawdzie narazie są to jeszcze tylko wnioski — nie zarządzenia, jednak przypuszczać należy, że skoro Ministerstwo Rolnictwa zasięgało w tej sprawie opinji P. Z. Ł. — z opinją tą będzie się chyba liczyć. Dlatego też w artykule niniejszym postaram się w krótkości przedstawić, jakie znaczenie mieć będą powyższe zarządzenia dla łowiectwa polskiego.

W roczniku bieżącym „Łowca Polskiego" p. Ludwik Radyński wydrukował dwie prace na temat ochrony pardwy i cietrzewia, to też pisząc o wnioskach P. Z. Ł. — zahaczę jednocześnie i o tezy p. Radyńskiego. W szkicu dzisiejszym poruszę pewnie rzeczy nie nowe, jednak jako stary bojownik walk o przedłużenie czasu ochronnego dla obu gatunków wyżej wymienionej zwierzyny — chcę raz jeszcze zabrać głos w tej sprawie w chwili — gdy dawne moje pobożne życzenia może nakoniec się spełnią.

Zacznę od pardwy. Ilekroć biorę pióro do ręki, by skreślić coś na temat ochrony tego ślicznego ptaka — doznaję uczucia smutku i przygnębienia, gdyż zgóry wiem, że opinja naszych łowieckich „sfer rządzących" będzie wręcz przeciwna i głos mój trafi w próżnię. Jest dla mnie rzeczą zupełnie niezrozumiałą, że jeżeli chodzi o rozszerzenie czasu ochronnego dla pardwy — sprawa idzie stale jak po grudzie. I wysoko postawieni leaderzy łowieccy i szaraczkowie hubertowscy z głuchej Dziśnieńszczyzny godzą się na to, że pardwa — to przepiękna zwierzyna i że zwierzyna ta w zastraszający sposób z każdym rokiem ginie. A jednak spróbujmy tylko czynić starania, zmierzające do jej ochrony — wnet spotkamy się z mocnym zdecydowanym oporem. Rozszerzyć czas ochronny dla puhacza, borsuka, może wiewiórki — bardzo chętnie, choćby zaraz, ale ginące pardwy — trzeba koniecznie strzelać pięć i pół, a przynajmniej pięć miesięcy w ciągu roku. Na tamtym stanowisku stała do niedawna „Warszawa" *), stał nawet Zarząd T-wa Łowieckiego Ziem Wschodnich, złożony przecie z ludzi, którym na pardwie musi zależeć. Jako argument motywujący to stanowisko — wysuwa się trudność podejścia i zdobycia tej zwierzyny w sezonie zimowym. Głuszca w zimie też trudno

*) „Warszawa" w tej sprawie stale oddawała i oddaje głos swemu Wileńskiemu Oddziałowi — Towarzystwu Łowieckiemu Ziem Wschodnich, stojąc na stanowisku, że on tu przedewszystkiem winno decydować. I w danym wypadku wnioski „Warszawy" są raczej wnioskami „Wilna". (Przyp. Red.).

zdobyć z podchodu, a jednak się go prawnie ochrania. Idąc po linji takiego rozumowania, należałoby zatem otworzyć polowanie na głuszce nie 16 marca, lecz już 1-go listopada. Zarządzenia podobnego prędko się nie doczekamy — co jest zresztą zupełnie słuszne — trzeba jednak być sprawiedliwym i wobec pardwy.

W wyżej wymienionym protokóle czytamy, że Polski Związek Łowiecki zaproponował Ministerstwu Rolnictwa przesunięcie początku sezonu pardwiego z 16 sierpnia na 1 września, inaczej mówiąc pardwa zyskała 16 dni ochrony. O ile sobie przypominam z czasów swej pracy w Sekcji Ochrony Pardwy — taki właśnie wniosek powędrował do Warszawy, jako rezultat długich i burzliwych dyskusyj Prezydjum Sekcji z Zarządem Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich.

Te szesnaście dni ochrony przydadzą się bardzo, gdyż w dużym stopniu zahamują „bezlitosne rzezie pardwich kurczaków", jak pisze p. Radyński. We wrześniu pardwy są już prawie wyrośnięte, dobrze wyciekają i latają, to też mniej krwawą będą składały daninę. Zatem wniosek P. Z. Ł. jest słuszny i pożyteczny, tylko, że, gdy weźmiemy pod uwagę cały okres dozwolonego polowania, wynoszący jak wspominałem 5½ miesięcy — okres dodanej obecnie pół — miesięcznej ochrony, dla tak rzadkiego ptaka jak pardwa jest strasznie skromny. Niechby tam jeszcze uszczknięto styczeń i grudzień, ustalając czas polowania na przeciąg od 1 września do 30 listopada — przypuszczam, że nikt z prawdziwych, myśliwych nie czułby się zbytnio pokrzywdzony, bo białą pardwę do zbiorów można zabić niekiedy nawet już w końcu listopada.

Dlaczego tak walczę o tę ochronę w miesiącach zimowych, przecież opinja głosi, że pardwa w grudniu lub styczniu jest prawie niemożliwa do zdobycia, a więc polowanie na nią w tym okresie nie jest groźne dla stanu tej zwierzyny? Niby tak jest, lecz w rzeczywistości autorytety łowieckie głoszą jedno, życie zaś mówi coś wręcz przeciwnego. Dam tego jaskrawy przykład.

Pardwa stała się modną, to też każdy myśliwy-zbieracz który w przejeździe zawadzi o Wilno, stawia sobie za punkt honoru nabycie wypchanego egzemplarza, no i naturalnie białego, a więc naprawdę „egzotycznego". Kupienie takiej pardwy w sezonie jesienno-zimowym nie przedstawia większych trudności. Wchodzę np. do zakładu preparatora. Właściciel, z obliczem rozjaśnionem powitalnym uśmiechem, kłania się uprzejmie.

— Pardwy białe? Mogą być, ile Pan Szanowny sobie życzy — cztery? Doskonale. Cena? Po siedem złotych proszę Pana.

Tak wygląda naprawdę trudność upolowania w zimie pardwy. Nasuwa się teraz pytanie, kto dostarcza białych okazów preparatorom wileńskim, a może i nietylko wileńskim. Nie czyną tego, rzecz prosta, osoby, nazwane przezemnie autorytetami łowieckiemi, są jednak tacy — którzy właśnie dla zysku strzelają masowo białe pardwy, a korzystając z panującej mody — zrobili sobie z tego proceder dochodowy.

Jeszcze jeden obrazek. Pewien mój znajomy z Królestwa, urzędnik P. K. P., nawet nie myśliwy — bawił parę dni w zimie na Wileńszczyźnie, gdzieś w okolicy m. Postaw i ku memu ogromnemu zdziwieniu — przywiózł stamtąd do domu 3 białe pardwy, które kupił poprostu jako osobliwość za 7 złotych. Dostawcą pardw okazał się tamtejszy kolejarz, który posiada kartę łowiecką. Pardwy zostały zabite w połowie stycznia, a więc w czasie dozwolonego polowania. Wszystko w porządku i kropka. Ale dlatego właśnie wołam coraz donośniej o zamknięcie polowania w zimie, bo „przemysł pardwi" rozwija się coraz szerzej i z pewnością nietylko ów kolejarz z pod Postaw strzela na sprzedaż albo i na obiad śnieżne ptaki. Jeżeli mnie ktoś nie wierzy — niech zwiedzi zakłady preparatorskie w Wilnie. Ręczę, że prędzej dostanie w nich pardwę zimową, niż letnią, dlatego, że te ostatnie nie mają jeszcze wyrobionego rynku zbytu, zaś białe są poprostu rozchwytywane.

Zdobędę się na zuchwalstwo i powiem tutaj autorytetom łowieckim, że się mylą, bo jednak można, wbrew ogólnemu przekonaniu, upolować zimowych pardw tyle, ile się chce. Nie dokona tego oczywiście pan Iks z Warszawy na Wileńszczyźnie w ciągu paru dni, ale miejscowy „ochotnik" znajdzie czas i sposób, by należycie obciążyć swoje troczki.



Chata bobrowa w urocz. Horodyszcze Nadl. Mosty.
Fot. nadl. Lisowski.

W artykule „O pardwie w Polsce" drukowanym w Nr. 13, 14, 15 „Łowca Polskiego" z 1936 r. propagowałem okres polowania na pardwy od dn. 1 września do 15 listopada, zresztą zgodzę się dziś na przedłużenie go do dnia 30 listopada. Pisałem wówczas: „Jeżeli chodzi o takie miesiące jak druga połowa listopada, grudzień i styczeń, to prawdziwy myśliwy, uznający łowy na pardwy tylko z pod wyżła — wówczas już nie poluje. Jeżeli zaś są tacy łowcy, którym sumienie pozwala w czasie podjazdu cietrzewi strzelać z sań do zziębniętych i wygłodzonych pardw — to oglądać się na nich oczywiście niema potrzeby. Bo dla etycznego i miłującego zwierzostan nemroda czas od 1 września do 15 listopada wystarczy najzupełniej do odstrzelenia z pod wyżła na cudownych jesiennych łowach kilku, czy nawet kilkudziesięciu takich ptaków".

Do słów tych dziś nie zamierzam nic dodawać — są bowiem dotąd zupełnie aktualne. Zaznaczyć tylko pragnę, że obecnie pardw mamy jeszcze mniej i jeszcze bardziej potrzebują one ochrony, niż w czasie, gdy pisałem zacytowane wyżej zdania.

Może ktoś mi zarzucić, iż samo zamknięcie polowania stworzy tylko pozory, że coś dla tej ochrony się zrobiło, jednak w praktyce nie przyniesie żadnych rezultatów, gdyż kłusowników prawo wcale nie przeraża. Zgadzam się, ale nie chodzi tu o kłusowników wieśniaków, tylko właśnie o kłusujących w znaczeniu etycznem — posiadaczy kart łowieckich w rodzaju wspomnianego kolejarza. Tacy panowie boją się jednak postradać kartę łowiecką i z pewnością nie zapolują w czasie ochronnym, jak również zaprzestaną w tym czasie handlu zakazaną zwierzyną.

Pan Radyński atakuje przedewszystkiem drapieżniki i radzi tępić je „ogniem i żelazem", przezornie nie mówi jednak, kto ma się tem zająć. W zagospodarowanych łowiskach prywatnych i w lasach państwowych zabieg ten lepiej lub gorzej jest od dawna już stosowany, a na terenach włościańskich lub tam, gdzie właściciel nie interesuje się łowiectwem czy poskutkują nawoływania prasy do walki ze szkodnikami? Od-

powiedź będzie wiadoma — nie. Może zajmie się tem Sekcja Ochrony Pardwy, lub Towarzystwa Rolnicze? — także nie. Nie tędy zatem droga i trzeba szukać innych sposobów, by istniejące dotąd resztki pardwich zwierzostanów jakoś ocalić. O sposobie takim, którego projektodawcą jest p. inż. Aleksander Radwan - Okuszko piszę poniżej. Będzie to próba, która powinna jednak dać dobre wyniki.

Wśród znajomych w Radomiu zebrałem grono osób, które wydzierżawi niebawem kawał terenów pardwich — w pow. wilejskim. Polować będziemy raz do roku, zato głównym celem tego kółka jest jaknajbardziej intensywna ochrona pardwy, uskuteczniana przez łowczego, zamieszkującego na miejscu, któremu kółko dostarczy środków materjalnych. Więcej takich kółek w Polsce, a pardwa z pewnością nie wyginie. Bo potrzeba nam nie rozwlekłej polemiki na łamach prasy łowieckiej, tylko czynów. Kilka złotych nagrody dla gajowego więcej pomoże pardwie, niż 800 wierszowy artykuł.



Gdy wloką odyńca. Fot. R. Eisenbraun.

A teraz trochę na temat cietrzewia. Obowiązująca dotąd u nas ustawa łowiecka pozwala na strzelanie cietrzewi - kogutów przez $9^1/_2$ miesięcy w ciągu roku t. j. od dnia 16-go sierpnia do 31-go maja, a oprócz tego na Ziemiach Północno - Wschodnich w ciągu miesiąca (16.VIII — 14.IX) można polować i na cieciorki (kury) oraz młode, słowem przepiękną tę zwierzynę, obok kaczorów i bataljonów, postawiono w rzędzie gatunków, posiadających najkrótszy czas ochronny. Sójka i gawron są przez prawo łowieckie więcej chronione, niż czarny trubadur zagajników, posiadają bowiem $6^1/_2$ miesiąca ochrony, a cietrzew $2^1/_2$.

Ten krzycząco niesprawiedliwy stosunek ustawy łowieckiej do cietrzewia zrobił swoje. Cietrzew ginie. Alarmy obiegły prasę łowiecką, wstrząsnęły (trochę późno) społeczeństwem myśliwskiem.

Spotkam się zaraz z zarzutem, że to nie polowanie przetrzebiło zwierzostan cietrzewi, tylko cały szereg innych przyczyn składa się na ten smutny objaw. Pan Radyński w swoim artykule w Nr. 22, 23, 24 „Łowca P." z r. b. wymienia dokładnie te przyczyny, więc nie będę ich tu powtarzał, muszę wszakże ze smutkiem zaznaczyć, że do tej litanji p. Radyńskiego trzeba włączyć jednak i wyraz „nadmierne polowanie". Bo zostanówmy się tylko, co robi przeciętny posiadacz cietrzewiego terenu dla ochrony tej zwierzyny? Czy ogranicza lub zamyka całkowicie wypas bydła, zbieranie jagód, grzybów i gałęzi, w celu zapewnienia w łowisku koniecznego spokoju. Odpowiedź: bardzo rzadko, lub wcale nie. Czy dokarmia w zimie owsem abo żórawinami? — napewno nie. Jedno, co robi dla tej ochrony — to może tępi drapieżniki. To może jest też jeszcze niejednokrotnie pod znakiem zapytania. Widzimy więc, że dotychczasowa ochrona tej zwierzyny jest tylko problematyczna — zobaczmy natomiast, jak wygląda sprawa odstrzału.

Jesienią — w czasie polowań na zające z psami, czy naganką strzela się chętnie i spotkane cietrzewie, albo nawet poluje się na nie specjalnie w pogodne ranki i wieczory z bałwanami (cieniami). W zimie kropnie się koguta z podrywu przy jamkach śnieżnych, a z podjazdu przywozi się nierzadko po 6 — 8 sztuk dziennie. Znam pewnego nemroda, który w ciągu stycznia 1936 r. „uzbierał" z podjazdu na Wileńszczyźnie 33 koguty. To chyba wystarczy, zwłaszcza, że polował on przecież nietylko w styczniu. Przyjdzie wiosna. Znowu polowania na toku: z cieniami, z budki, na wabia i z podchodu. A do tego jeszcze dojdzie dziesiątkowanie młodych z pod wyżła, odstrzeliwanie starek i słabo lotnych wypiorów - leniaków. Ośmielam się więc zapytać, skąd mają się brać cietrzewie, zwłaszcza że oprócz tak intensywnego odstrzału istnieją przecież także: komasacja, meljoracja, jednolite zalesienia sosnowe, tępienie brzozy jako chwastu leśnego i t. d.

Pan Radyński, aczkolwiek tak energicznie występuje w obronie cietrzewia — „wygadał się" jednak w swym artykule, że 19.VIII.1937 r. upolował z pod wyżła 18 (!) cietrzewi. Gdyby to było w roku 1927, rezultat taki uważałbym za rzecz zupełnie właściwą, ale w roku ubiegłym? Szanowny Autorze, a 5 sztuk czyby nie wystarczyło? Takie wypadki są na porządku dziennym i dlatego właśnie „nadmierne polowanie" postawiłem również w rzędzie przyczyn zaniku cietrzewi w naszych łowiskach.

Wnioski — zgłoszone przez Polski Związek Łowiecki Ministerstwu Rolnictwa — są, jak zaznaczyłem na wstępie, wprost rewelacyjne, gdyż zapewniają cietrzewiowi - kogutowi $6^1/_2$ miesiąca ochrony w woj. wileńskiem i nowogródzkiem, zaś w pozostałych województwach 6 miesięcy, podczas gdy dawniej ochrona obowiązywała tylko w ciągu $2^1/_2$ miesięcy. Na cieciorki wolno zaś będzie polować od 1 do 14 września, czyli tylko w ciągu 2-ch tygodni, zamiast dawnego miesiąca. Nasuwa się jednak pytanie — dlaczego na Ziemiach Północno - Wschodnich, gdzie cietrzew jest najpospolitszy, posiadać on będzie dłuższy czas ochronny — niż w województwach pozostałych, o znacznie gorszym stanie tej zwierzyny? Musiałoby być raczej odwrotnie. Ale mniejsza z tem! Dość, że cietrzew otrzyma nakoniec zupełnie zasłużoną ochronę, której od dziesiątka lat bezskutecznie oczekiwał i to ochronę pomyślaną w ten sposób, iż najwięcej niszczycielskie sposoby łowów znikną odtąd bezpowrotnie.

Jakie rodzaje polowań na cietrzewie staną się nieaktualne w związku ze zmianą czasu ochronnego? Ano, w pierwszym rzędzie podjazd zimowy, o szkodliwości którego pisałem uprzednio i polowanie z jamek. To ostatnie jest mniej groźne, gdyż od kilku lat nie spotykają się u nas tak głębokie śniegi, by cietrzewie potrafiły grzebać w nich nory. W każdym razie łowy takie są nieetyczne i dlatego nie warto ich opłakiwać. Częściowo (od 1 grudnia) ustanie także strzelanie cietrzewi na zimowych nagankach. Tego polowania osobiście nieco żałuję, gdyż strzelenie w lot barwnego koguta — mknącego jak kula przez ośnieżoną, wyiskrzoną w słońcu knieję — zaliczyć wypada do dużych rozkoszy łowieckich. Ale trudno, dla dobra tak cudnej zwierzyny złóżmy ochoczo tę ofiarę.

Pozostaną tylko dwa polowania, ale zato dające najwięcej emocji: łowy na tokach i jesienna buszówka z wyżłem oraz, jeżeli ktoś lubi, jesienne łowy z bałwanami, które np. dla mnie nie przedstawiają nic przyjemnego.

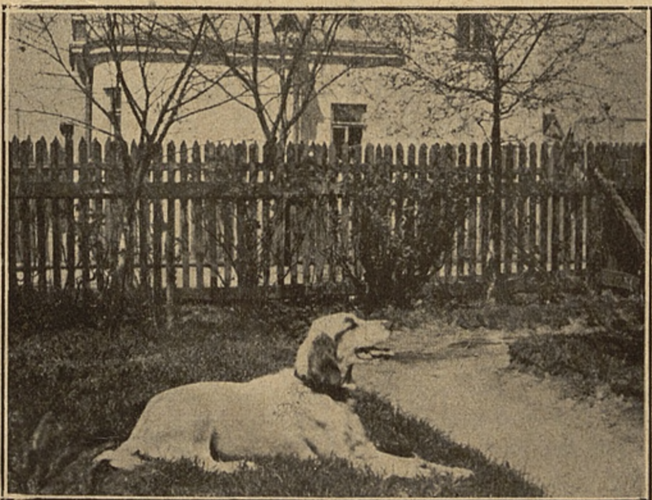
Wbrew szemraniu zdecydowanych śledzienników i malkontentów — należy gorąco przyklasnąć Polskiemu Związkowi Łowieckiemu za zajęcie się nakoniec sprawą cietrzewia i poczynienie kroków zmierzających do jego ochrony. Jeszcze w 1936 r. na łamach jednodniówki poznańskiej p. t. „Echa Polskich Łowisk" wołałem o zainteresowanie się losem „na-

tchnionego pieśniarza zagajów" i oto dziś może nakoniec biedny cietrzew awansuje do stopnia należycie chronionej zwierzyny. Daj Boże, aby nastąpiło to jaknajprędzej!

Na zakończenie pragnę się jeszcze zająć sprawą polowania na cietrzewie z pod wyżła. Polowanie to na Ziemiach Północno - Wschodnich ma liczne rzesze zdecydowanych zwolenników, których dzielę na dwie kategorie: jedni, to amatorzy z krwi i kości, dla których ustrzelenie w sezonie z przed stójki kilkunastu „ciecieruków" i tyluż pardw, jest marzeniem wielu miesięcy zimowo - wiosenno - letnich, natomiast drudzy nie widzą dużej różnicy pomiędzy strzałem do cietrzewia a np. do kuropatwy. Polują z wyżłem na cietrzewie nie dlatego, by się pasjonowali temi łowami, lecz ze względu na to, że na Wileńszczyźnie, jak to słusznie podkreślił p. Michał Pawlikowski w N-rze 25 „Łowca Polskiego" z roku 1937, brakuje innej zwierzyny do wyżłowania. Ręczę, że taki pan wolałby spokojny spacer po równym, miłym łanie koniczyny, niż uciążliwe deptanie po uginających się mchach i gęstych chaszczach łozowo - brzozowych; cóż ma jednak robić. Dubelty prawie wyginęły, do kszyków nie każdy potrafi strzelać, pardwy giną, kuropatw też niewiele się tu spotyka — pozostały tylko jeszcze młode cietrzewie.

Zaprojektowany przez P. Z. Ł. dwutygodniowy termin polowania na cieciorki oraz młode — godzi ostrzem ograniczenia przedewszystkiem w tych właśnie panów. Wymieniona wyżej pierwsza kategorja myśliwych, aczkolwiek z ciężkim westchnieniem — w cichości przyjmie niewątpliwie skrócenie czasu tego polowania. Są to bowiem ludzie starsi, którzy w swem długiem życiu wiele już leniaków i farbowików zapisali w dziennikach myśliwskich. Dzisiaj ciężko im jest, steranym walką życiową i upadkiem sił — włóczyć się tygodniami po błotach, czy mszarach. Raz, albo dwa razy w sezonie wybiorą się, raczej dla tradycji, na pardwy i cietrzewie — to też dwa tygodnie czasu najzupełniej ich zadowolą.

Inaczej będzie z kategorją drugą. Tutaj przoduje wiek dojrzały i zarybek myśliwski, pragnący wyładować swoją energję i temperament w romantycznych wyprawach do kniei i mnogość różnorodnych strzałów, bez różnicy do jakiej zwierzyny. Dwa tygodnie polowania — to dla nich strasznie mało, a cóż będzie, gdy przyjdą jeszcze niepogody, brak czasu i t. p. tak, że okres polowania ograniczy się właściwie do kilku dni. Mówiąc stylem p. Radyńskiego — stąd właśnie pójdą dziryty, włócznie i strzały (może nawet zatrute) na Polski Związek Łowiecki. Rozumiem was, panowie, lecz i wy musicie zrozumieć, że nie chodzi tu o obrzydzenie wam namiętności łowieckiej, nie chodzi o szykany — tylko o ratowanie cietrzewia. Gdy stan tej zwierzyny znacznie się poprawi — znikną zakazy i ograniczenia, a dawne dobre czasy znowu nastaną. Lubicie panowie polowania z wyżłem — zajmijcie się kuropatwą. Przecież i na Wileńszczyźnie, tam, gdzie drapieżniki są należycie tępione, gdzie w zimie stawia się budki i dokarmia pośladem zgłodniałe kury, gdzie zasadza się w polu remizy ochronne — zwierzyna ta rozmnaża się i zimuje zupełnie dobrze. *Kuropatwa ginie tylko w takiem łowisku, gdzie pozostawiona jest wyłącznie własnemu losowi.* Jeżeli nie posiadacie dostatecznej ilości kur na swym terenie, to sprowadźcie trochę żywych kuropatw wiosną z innych obszarów. Ptaki te nie lubią emigrować i wypuszczone w środku łowiska nocą — niewątpliwie zostaną w niem na stałe, o ile tylko spotkają się z opieką hodowcy - myśliwego.



Czekam... Fot. J. Hołyński.



Na wojennej stopie. Fot. R. Eisenbraun.

W kwestji ochrony, a właściwie ratowania ginącego z każdym rokiem cietrzewia — Polski Związek Łowiecki, zaprojektowując dobrze pomyślane czasy ochronne — spełnił swoje zadanie. Reszta zależy już tylko od nas samych, od tych setek i tysięcy właścicieli łowisk, czy dzierżawców — rozrzuconych po całym obszarze Polski. Suchy przepis prawa, jeszcze jedno zarządzenie — nie uratuje napewno cietrzewia. My sami i tylko właśnie my możemy go ocalić od zagłady. Zajmijmy się więc nareszcie tą śliczną zwierzyną wszędzie tam, gdzie ona dotąd przetrwała. Nie oglądajmy się na tereny włościańskie lub takie, gdzie właściciel nie jest myśliwym. Że tam zwierzostan zanika — na to niema jak dotąd rady, u siebie jednak możemy zdziałać bardzo wiele.

Co trzeba zrobić dla ochrony cietrzewia? Na to pytanie postaram się odpowiedzieć obszernie w specjalnym artykule. Dzisiaj powiem tylko krótko, iż trzeba przedewszystkiem *chcieć* coś zdziałać. To jest właśnie najważniejsze. Bo rady i wskazówki — choćby najlepsze, nic nie pomogą, gdy zabraknie tych, którzyby ze wskazówek chcieli skorzystać.

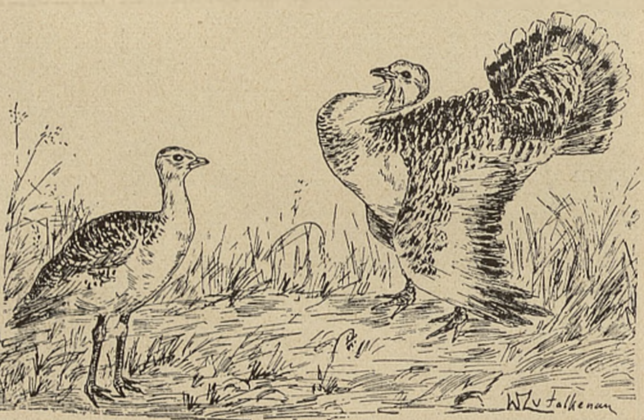
I powiem jeszcze jedno. Pięknie bezsprzecznie wygląda na ścianie oprawiona w tarczę dębową lira cietrzewia, jednak jeszcze piękniej i milej prezentuje się wiosenne tokowisko z uwijającemi się po niem sylwetkami czarnych kogutów, o których wiemy, że są nasze, dzięki naszej opiece wyhodowane.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

DROPIE W POŁUDNIOWO-WSCHODNIEJ POŁACI POLSKI

Dokończenie.

Słów kilka powiedzieć trzeba o najbardziej rozpowszechnionych sposobach polowania na dropie, aczkolwiek to w chwili obecnej nie posiada praktycznego znaczenia, wobec całkowitej ochrony przyznanej zarówno dropiowi, jak i jego mniejszemu krewniakowi — strepetowi (dropiowi kamionce). Uważam jednak, że i w tym wypadku całkowita ochrona chybia celu, gdyż tylko wówczas dany gatunek będzie należycie chroniony przez myśliwych, kiedy istnieje, chociażby bardzo problematyczna nadzieja zdobycia trofeum drogą bodaj wyjątkowego zezwolenia na odstrzał. Drop jest przytem takim gatunkiem, któremu mniej zaszkodzi prawidłowy odstrzał np. starych niewiarygodnej wielkości samców, niż brak stałej opieki myśliwego przy równoczesnem stałem niebezpieczeństwie ze strony miejscowej ludności i różnych szkodników.



Przytoczę opisy polowań na dropie, jakie znalazłem w kalendarzu myśliwskim z 1904 r. L. Sabaniejewa. (Wydawnictwo — Imperatorskoje Obszczestwo Prawilnoj Ochoty). Jak autor podaje, polowanie na dropie zaczynało się w lecie na początku lipca. Poluje się wówczas na dropie w najbardziej upalnej porze dnia, około południa, kiedy one dotrzymują mocno. Objektem tego polowania są stadka, składające się z matki i młodych, przy których zrzadka trzyma się samiec. Czasami przy jednej matce dają się zauważyć młode w różnym wieku, co świadczy o tem, że do rodziny przyłączyło się potomstwo zabitej w czasie wychowywania młodych samicy. W południe szukać dropi należy w zbożach lub kukurydzy przy miedzy, gdzie się chronią one od skwaru. Psu często udaje się ptaki wytropić na rannem żerowisku, skąd prowadzi myśliwego wprost do kryjówki. Podobnie poluje się na stadka samców, które leżą mniej twardo i są czujniejsze. Udaje się jednak podejść je na bliski strzał, przyczem w lecie dropie są miękkie na rany i przy strzale na 50—60 kroków wystarcza zupełnie 1—2 Nr. Polowanie to trwa do połowy lub (na wschodzie) do końca sierpnia z podchodu lub z „podjazdu". Dropie wychodzą w tym czasie ze zbóż na otwarte miejsca i polowanie z psem staje się niemożliwe. Myśliwego, polującego pieszo, czujne dropie podpuszczają najwyżej na odległość 70 kroków. Kirgizi używają bardzo dowcipnego fortelu, a mianowicie pędzą przed sobą byka, który nie budzi trwogi w ostrożnych ptakach. Na stepach Ukrainy używa się do maskowania podchodu t. zw. „chystok" czyli drewniana oś na dwóch drewnianych rolkach. Do tej osi przymocowana jest rączka, a do otworów wyświdrowanych w osi wkłada się gęste gałązki. Podjeżdża się dropie na zwykłym wozie jednokonnym. Myśliwi muszą jaknajmniej różnić się od powracających z pola wieśniaków, zarówno ubiorem, jak i ruchami, gdyż mądre i przebiegłe ptaki odrazu domyślają się podstępu. Jedzie się zawsze nie wprost do ptaków, lecz naukos. W odpowiednim momencie myśliwi zeskakują i biegną w kierunku podrywających się dropi. W wypadku zbyt wielkiej przebiegłości stada, należy je objeżdżać, zataczając coraz to mniejsze koła. Trzeba przytem pamiętać, że dropie wzlatują zawsze najpierw naprzeciwko wiatrowi, a potem lecą w półwiatru. Do lecącego, mijającego myśliwego dropia strzela się, zakładając 1—2 m. Oprócz opisanych wyżej sposobów, stosuje się jeszcze napędzanie dropi na myśliwych, które najlepsze wyniki daje na początku jesieni przy udziale 6—8 myśliwych. Myśliwi jadą na dwóch wehikułach tego rodzaju, że łatwo z nich podczas jazdy zeskakiwać, i podjeżdżają do dropi na odległość ca 300—400 m. Z tej odległości powozy skręcają z drogi i ruszają wzdłuż miedzy, porosłej wysokiemi chwastami. Co 150—200 kroków myśliwi zeskakują i kryją się, leżąc na miedzy. Potem wozy ruszają dalej, zataczając koło o promieniu równym odległości, dzielącej dropie od zasadzki, przyczem pierwszy wóz jedzie szybciej, oddalając się coraz bardziej od drugiego. Wozy manewrują w ten sposób, zawracając, przyśpieszając tempo i przystając, że stopniowo dropie przesuwają się bliżej zasadzki i wreszcie zaniepokojone ruchami wozów, lecą lub biegną wprost na myśliwych. Odległość dropi od wozów przez cały czas prawie się nie zmienia. Przy mniejszej powierzchni miejsca polowania można podjeżdżać bliżej. Najtrudniejszem jest polowanie z napędzeniem dropi na jednego myśliwego, gdyż wymaga dokładnej znajomości obyczajów tych ptaków i umiejętnego wyboru terenu i miejsca kryjówki. Myśliwy zeskakuje z wozu w odległości 700—800 kroków od stada, tak aby wiatr wiał zukosa. Wóz zaczyna manewrować, zbliżając się pomału do stada, jeżdżąc tam i z powrotem po krzywej, nie dłuższej od ⅛ pełnego koła. Umiejętny naganiacz napędza dropie w ten sposób wprost na myśliwego, który strzela najpierw do biegnących, a później do podrywających się sztuk. Najłatwiej napędzać niewielkie stado, liczące 5—20 sztuk. S. Kubicki poza opisanemi wyżej sposobami, mniej lub więcej zmodyfikowanemi, opisuje („Łowiec Polski" 1900 r.) polowanie na dropie w nocy. Sposób ten przedstawia się następująco: Wieczorem ustala się miejsce, gdzie dropie zasiadły, a w nocy kilku ludzi ze snopami słomy podkrada się do ptaków i nagle zapala te snopy. Dropie zaskoczone blaskiem, tracą zwykłą czujność i myśliwi zbliżają się z przeciwległej strony, z łatwością dochodząc do strzału. Nie powiem, żeby sposób ten odznaczał się estetycznością, jak zresztą większość ze sposobów polowania na dropie.

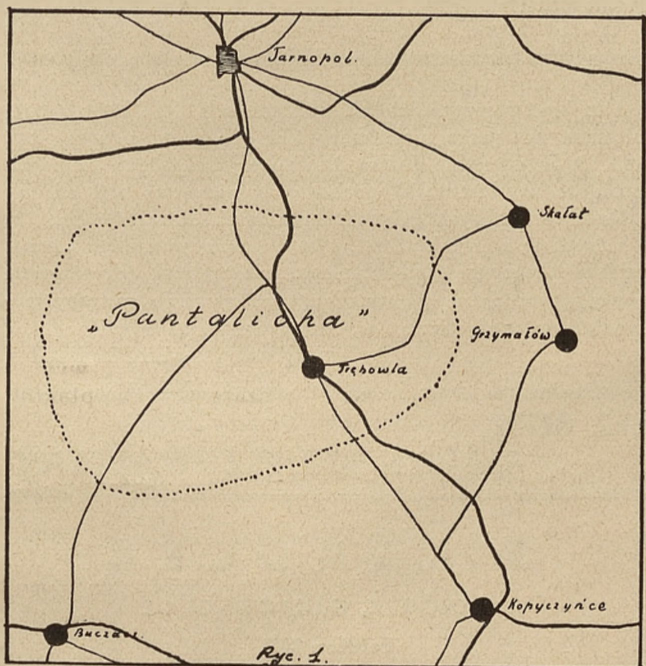
W naszych warunkach, kiedy drop stał się tak rzadkim, poprostu zabytkowym ptakiem, sposoby polowania, związane z płoszeniem, lub napędzaniem ptaków, nie mogą mieć zastosowania. Wykluczone musi być również wybijanie młodych w letniej porze. Najstosowniejszym i pozwalającym na ubicie odpowiedniej sztuki do odstrzału jest wobec tego sposób polowania z podchodu lub podjazdu w pojedynkę lub przy udziale najwyżej 2—3 myśliwych, z zastrzeżeniem strzelania tylko do starych samców. Polowanie na tokach, aczkolwiek, jak sądzę, najciekawsze — uważałbym za niewskazane. Rozważania na ten temat w chwili obecnej nie mają praktycznego znaczenia, wobec czego poprzestanę na tych luźnych uwagach.

Przystąpię wreszcie do wyłuszczenia ostatnio zebranych danych, dotyczących występowania dropia na Wołyniu i w Tarnopolskiem, gdzie niewątpliwie w cza-

sach dawniejszych znajdowały się główne ostoje tego przepięknego „strusia Europy".

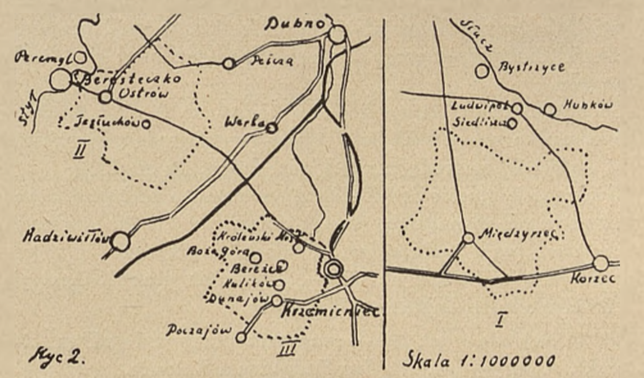
W związku z gromadzeniem materjałów statystycznych dla Działu Polskiego Międz. Wyst. Łow. w Berlinie p. Dyr. St. Modzelewski (Dyr. L. P. w Łucku) łaskawie nadesłał szereg bardzo ciekawych i cennych danych, jakie udało się zebrać dzięki energicznym wywiadom, przeprowadzonym w terenie przez p. S. Adamowicza (wrzesień 1937 r.). Na terenie woj. Tarnopolskiego sprawa dropi przedstawia się następująco. Przed wojną dropie licznie występowały w pow. Skałackim, w okolicy Grzymałowa i na wielkiem pustkowiu „Pantalicha" (p. szkic Nr. 1). Na terenie Pantalichy ostatnio widziano dropie przed 5-ciu laty. P. Wieczffiński z Buczaczu przypuszcza, że dropie trafiają się w powiecie trembowelskim. P. Adamowicz przeprowadził w tym wypadku swój wywiad z osobami kompetentnemi, które polowały przed wojną na dropie lub biorą czynny udział w życiu organizacyj łowieckich.

Wiadomości z Wołynia są bardziej pocieszające. W ośrodku, oznaczonym na mapie (ryc. 2) Nr. 1, a mianowicie w okolicy Międzyrzecza, koło Korca,



Szkic Nr. 1.

obecnie ani dropi, ani strepetów nie spotyka się wcale. Przed 29 laty spotykało się dropie na rozległych łanach dworskich. Warunki się zmieniły — komasacja wyparła dropie, bo siedziby ludzkie rozsiały się po polach, w związku z czem wzrosła znacznie plaga włóczących się psów (relacja hr. Steckiego z Międzyrzecza). W ośrodku drugim, w pow. Dubieńskim, gmina Tesłuhów, corocznie, jak informuje inż. Ziembicki (łowczy pow. Zdołbunowskiego), widuje się corocznie 6 sztuk dropi na wzgórzu około 250 m. wysokości. Od czeterch lat dropie już się nie pokazują. Z trzeciego punktu występowania dropi w pow. Krze-



Szkic Nr. 2.

mienieckim, mamy następujące wiadomości. Przed 8 laty na gruntach wsi Sapanow, gm. Bereżce, schwytano młodego dropia (relacja p. inż. Brakowskiego — łowczego z pow. Krzemienieckiego). Gajowy z Liceum Krzemienieckiego, St. Oleksiuk, oznajmił, że przed 5 laty na polach wsi Sapanow, Gajechotowka, dropie się gnieździły i wylęgały. Widziano je w czasie żniw 6—8 sztuk. Ludność miejscowa niszczy je bardzo często, wobec czego przeniosły się w kierunku pow. Dubieńskiego, w poszukiwaniu mniej zaludnionych miejsc. Co parę lat pojawiają się jednak 3—4 sztuki na polach wsi Sapanow. W r. 1937 22 września widział je tam syn gajowego Aleksiuka.

Jak z powyższego widzimy, południowo wschodnie połacie Polski, terenowo i siedliskowo najbardziej dla dropi odpowiednie, wobec postępów „kultury" i zbytniego zagęszczenia zaludnienia, coraz mniej czynią zadość wymaganiom ostrożnych i wrażliwych na niepokojenie ptaków.

Przepiękna wizja zamierzchłej przeszłości — skrzydlaty odpowiednik żubra — odludek — drop ustępuje, zanika... Obowiązkiem wszystkich myśliwych, zamieszkujących okolice, gdzie dropie jeszcze występują, jest wobec tego, otoczenie ich odpowiednią pieczą. Może nadejdzie dzień, kiedy stan dropi, podobnie jak łosi, odrodzi się tak dalece, że każdy w duszy swej może kryć nadzieję uzyskania odstrzału tego królewskiego ptaka!

Inż. W. LINDEMANN.

*) Nic nie pomoże. Jedynym obecnie czynnikiem, powodującym eksterminację u nas dropia, jest coraz zgęszczające się zaludnienie, a na to niema sposobu. (Przyp. Red.).

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DZIAŁ URZĘDOWY.

(Przedruk dozwolony tylko z powołaniem się na źródło).

Z KOMISJI PROPAGANDOWEJ P. Z. Ł.

Sąd Konkursowy powołany do osądzenia prac, nadesłanych na konkurs na temat: „Zadania i cele łowiectwa polskiego oraz drogi jego rozwoju", zebrał się w dniu 7 b. m. pod przewodnictwem Przewodniczącego Komisji Propagandowej p. Józefa Skrzypka.

Po stwierdzeniu, że na konkurs nadesłano 9 prac postanowiono, wobec niewielkiej ilości tych prac, nagrodę piątą skasować, natomiast nagrodę czwartą powiększyć do zł. 150.—.

Większością głosów Sąd Konkursowy uznał za najlepszą z prac konkursowych, wymagającą jednak znacznych skrótów i pewnych uzupełnień, pracę pod godłem „Podlasie" i przyznał jej nagrodę pierwszą w kwocie zł. 300.—. Autorem pracy okazał się P. Władysław Hr. Zabiełło z Warszawy.

Drugą nagrodę — zł. 200.— przyznano pracy pod godłem „Rosomak". Autor — Inż. Dr. Jan Podgórny z Katowic.

Trzecią nagrodę — zł. 150.— przyznano pracy pod godłem „Darz bór". Autor — P. Wacław Podhorski z Wołynia.

Czwartą nagrodę — zł. 150.— przyznano pracy pod godłem „Horned Owl". Autor — P. Sędzia Walenty Garczyński z Warszawy.

Ponadto postanowiono zakupić pracę pod godłem „Ikar" P. Władysława Gürtlera z Rzeszowa w drodze porozumienia się Przewodniczącego Komisji p. J. Skrzypka z autorem.

Członkowie Sądu Konkursowego:

(—) Stefan Krzywoszewski, (—) Józef Skrzypek, (—) Tadeusz Śliwiński, (—) Stanisław Prus-Wiśniewski, (—) Józef Gieysztor.

ZMIANY WŚRÓD ŁOWCZYCH ZWIĄZKU W WOJ. ŚLĄSKIM.

Śląska Wojewódzka Rada Łowiecka komunikuje, że zwolniono na własną prośbę z obowiązków Łowczego na powiat i m. Katowice, p. inż. Bukowskiego Jana, Katowice, ul. Br. Pierackiego 6.

Na posiedzeniu Śląskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w dniu 26 września r. b. powierzono funkcję Łowczego na powiat i m. Katowice p. inż. Witoldowi Radzimińskiemu, zam. w Giszowcu, Rynek 1.

Również na tem posiedzeniu mianowano Podłowczym na powiat Świętochłowice p. Sołtyska Piotra, zam. w Chorzowie I, ul. Szopena 11a.

ROZMAITOŚCI

TROCHĘ O BRONI.

Świetnie opracowany artykuł p. inż. Walerego Mariańskiego p. t. „Najnowsze postępy techniki w dziedzinie myśliwskiego strzału kulowego (Łowiec Polski Nr. 26 z 1938 r.) — jest rewelacją.

Na łamach naszego organu dosyć rzadko ukazują się artykuły, traktujące o broni. Broń kulowa jest czasami wspominana w artykułach, natomiast o broni śrutowej prawie nigdy się nie pisze.

Wspomniany artykuł wywołał do pewnego stopnia — rzec można — polemikę w sprawie broni małokalibrowych o wielkiej szybkości początkowej. Mam tu na myśli, dosyć zresztą rozpowszechniony wśród naszych myśliwych sztucer Savage kal. 5,6×52. Opis tej broni był umieszczony w Nr. 3 Łowca Polskiego z b. r.

W Nr. 27 Łowca Polskiego ukazał się artykuł p. t. „Najmodniejsza broń myśliwska", zawierający — zdaniem mojem — pewne nieścisłości. Oryginalnego sztucera kal. 5,6×52 Savage, 1 strzałowego — nie znam, natomiast sztucer oryginalny Savage 5,6×52 magazynowy — nie jest bronią nową. Wypuszczony jeszcze przed wojną na rynek, był dosyć rozpowszechniony w b. zaborze rosyjskim. Ten sztucer magazynowy posiada nawet urządzenie, w nowszych typach, wykazujące ile naboi pozostało w magazynie po wystrzeniu kilku z nich.

Broń pojedyńcza i podwójna była fabrykowana do tej amunicji przez rozmaite fabryki europejskie, gdyż nabój sam zyskał sobie dużą popularność.

Naboje do kalibru 5,6×52 są robione z kryzą wystającą (w artykule użyty wyraz „rant"). Uważam, że nie jest słusznem twierdzenie autora, że naboje z kryzą wystającą nie nadają się do broni magazynowej, gdyż wiele broni magazynowych posiada właśnie takie naboje — w tym wypadku powołam się na wymieniony przez autora kaliber 8 × 57.

Przy okazji wspomnę, że karabiny wojskowe Anglii, Francji i Rosji — pomimo to, iż są magazynowe, — używają amunicji z kryzą wystającą.

A teraz co do kalibru 8×57. Autor artykułu wspomniał, iż jest to broń najpopularniejsza w Niemczech, i że broń ta wymieniana jest przez rusznikarzy niemieckich na sztucery kal. 5,6×52. Ja od siebie dodam, że sztucery kal. 8×57 „najpopularniejsze w Niemczech" pochodzą w pierwszej linji od karabinów wojskowych dobrze nam znanych Mauserów kal. 7,9, z których są albo fabrycznie, albo też przez rusznikarzy przerabiane. Ciekawem jest iż w obecnych czasach, tak szalonem powodzeniem cieszą się wszelkiego autoramentu sztucery myśliwskie, mogące strzelać wojskową amunicją.

BROCHWICZ.

TREŚĆ NUMERU:

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, St. Leski, M. Mniszek-Tchorznicki, E. Niezabitowski, F. A. Ossendowski, M. hr. Potocki, St. Prus-Wiśniewski, B. Przychodźko, A. hr. Rzewuski, J. Skrzypek. K. Świderski, K. hr. Wodzicki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa